

MAKSYM TANK

Z wierszy o Polsce

CHOPIN

W Łazienkach, po nocy, szerokim półkolem,
Na mrocznych alejach, zastygłych od chłodu,
Od łuków pałacu do sztachet ogrodu,
Stały jak mur hitlerowskie patrole.

Czy może ciebie zbiega z drutów kacetu
Tu zaszył się w gąszcz przed rękami potworów,
A może chłopaki spod znaku Oporu
Tu mają melinę i ostrzą bagnety.



Nie, inne dziś przyjsia żandarmów powody:
Im Ten jest potrzebny, kto w serca milionów,
W tym kraju cmentarzy i ziemi skrwawionej
Zastawa wciąż myśl o wieczności narodu.

A kiedy minęła godzina dwunasta
I kolby trzasnęły w brąz ciemny pomnika
Poderwał się nagle tragicznym okrzykiem
Dźwięk harfy rozbitej i pobiegł przez miasto.

Nie mogły go stłumić i huki wybuchu,
Gdy zerwał fundament i trzon piedestału.
Akordy wzrastając w powietrzu tężały
I coraz bezwzględniej wdzierają się w ucho.

Do dzisiaj nad tamtych wydarzeń areną,
Nad miastem, co mężnie przeżyło tę noc,
Nad tymi, co zawsze walczyli z przemocą,
Unoszą się dźwięki melodii Chopina.

WODOSPAD SIKLAWICA

Scieżką samochód nie mógł iść,
Choć konie pewnie nią stapały,
Dópóki wiodła lekko wzdłuż
Po krajeźniku białej skały.

Ale i ona miała kres,
A dalej były lasy bure
I nieprzystępna skalna plesz
Strzelata wprost przed nami w górę.

A między chmarą nagich skał
I ziemią pogrążoną w śniegi,
Wodospad skuty lodem stał,
Znieruchomiął w szybkim biegu.

Przewodnik nam nakazał w mig
Z daleka trzymać się od spadu,
By jakieś słowo albo krzyk
Nie przebudziły wodospadu.

Lecz łatwiej wstrzymać mu bieg wód,
Niż człowiekowi krzyk radości...
I oto nagle pryska lód
I gra na falach niebieskości.

Kto widział to, ten dobrze wie,
Skąd się wywodzi płas juchałów
I czemu wdiera się w ich śpiew
Huk lawin, wichrów, rzek i lasów.

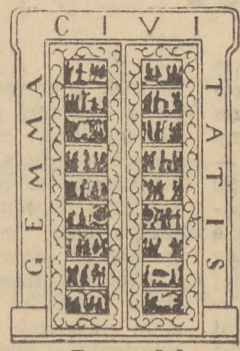
przekład Bohdana Gębarskiego



rys. Bohdan Sleskin

Momentem przełomowym w rozwoju stosunków w Polsce między Kościołem a dążącym do socjalizmu Państwem Ludowym było podpisanie Porozumienia między Rządem PRL a Episkopatem polskim. Myłoby się ten, kto by oczekiwał, że akt Porozumienia rozwiąże wszystkie trudności na odcinku stosunków Kościół — Państwo. Akt ten miał inne znaczenie. Był on przede wszystkim obustronnym stwierdzeniem, że Kościół katolicki może istnieć w ramach ustroju socjalistycznego. Akt ten był też wyrazem woli współdziałania, wyrażonej z jednej strony przez Episkopat polski jako nadrzędny au-

Jerzy Krasnowolski



* PAX *

DZIS i JUTRO

JERZY KRASNOWOLSKI

WOBEK PRZEMIAN

KOŚCIÓŁ katolicki istnieje w ramach określonych cywilizacji, w ramach konkretnych rzeczywistości historycznych. Kościół bowiem, to ci sami ludzie, którzy tworzą historię, którzy tworzą wszelkie porządki doczesne. Jednocześnie jednak Kościół to tylko ci, którzy poprzez nadprzyrodzoną Władzę Ducha Świętego tworzą mistyczną jedność w Chrystusie. Dlatego Kościół — chociaż istnieje w ramach porządku doczesnego — nie jest doczesny, lecz wieczny. Dlatego — chociaż istnieje zawsze w ramach jakiejś cywilizacji — z żadną z nich się nie utożsamia i z żadną nie łączy się nierozdzielnie wiązami.

Jesteśmy Kościołem i nie jesteśmy nim. Jesteśmy Kościołem o tyle, o ile jesteśmy dziećmi Bożymi, o ile pozostajemy w łączności z Chrystusem. Nie jesteśmy Kościołem o tyle, o ile ulegamy błędowi, ograniczeniom i niewiedzy.

Wielką pokusą jest utożsamianie z Kościołem całego naszego „ja”, wraz z jego niedoskonałością i brakami. Równie wielkim niebezpieczeństwem jest utożsamianie Kościoła z jakimkolwiek porządkiem doczesnym. Kościół nie jest jakąś rzeczywistością pozaziemską i niewidzialną. Istnieje on konkretnie w ramach konkretnych cywilizacji. Raz jeszcze jednak podkreślamy: nie utożsamia się jednak z żadną z nich. Powstawały i ginęły państwa, przemijały cywilizacje — on sam jest wieczny.

Zadaniem Kościoła nie jest tworzenie cywilizacji. Nie jest też jego zadaniem dokonywanie rewolucji, zamienianie jednego porządku na drugi. Kościół nie odrzuca żadnej cywilizacji — tak jak nie odrzuca żadnej jednostki ludzkiej, choćby najbardziej była niedoskonała. Może on istnieć w ramach każdego porządku — w tym się wyraża jego uniwersalizm — choć na żaden z nich nie godzi się bez reszty. Każdy ustrój i każdy porządek społeczny, w jakim istnieje, Kościół przemienia od wewnątrz, nie naruszając jednocześnie jego istoty i wewnętrznej struktury. Jest on podobny do kwasu, który przetwarza wszelki zaczyn. Jego działaniem jest działaniem w porządku Łaski — jest odradzaniem w Chrystusie.

Z tych zasad, z takiego rozumienia istoty Kościoła wynika nasz stosunek do współczesnej rzeczywistości.

W chwili obecnej jesteśmy świadkami olbrzymiego konfliktu — konfliktu na miarę dziejową. Świat cały podzielony jest na dwa obozy. Zdajemy sobie jednak sprawę, że konflikt ten jest nie tylko konfliktem politycznym. Walczą ze sobą dwa różne ustroje, dwa różne porządki społeczne, dwie cywilizacje. Dlatego to linia podziału nie są granice państw. Walka ta toczy się zarówno na Zachodzie jak też i u nas — znajdując się na różnych etapach.

Jakie wobec tego konfliktu ma być stanowisko nas — katolików?

Postawa nasza musi być przede wszystkim uwarunkowana przez postulat realizmu. Procesy historyczne są nieodwracalne. Ich biegu nie są w stanie zmienić nie tylko poszczególne jednostki, ale nawet całe narody. Takim procesem historycznym jest stopniowy rozkład i upadek porządku kapitalistycznego, budzenie się i narastanie nowej rzeczywistości socjalistycznej. Trzeba wielkiego zaślępienia, by jeszcze teraz nie dostrzegać głębi dokonujących się przemian, by wierzyć, że kiedykolwiek

może zostać odbudowany obalony już porządek świata kapitalistycznego. Każda jednostka czy grupa, która ulega iluzji powrotu „dawnych czasów” wyłącza się poza nawias życia, usuwa się gdzieś na margines, stając poza nurtem wydarzeń. Żłudną jest nadzieja, że znajdzie ona miejsce w nowej rzeczywistości.

Właśnie realizm wymaga od nas uznania dokonujących się przemian. Na przestrzeni historii to co stare, zawsze musi ginąć — nic nie może go ocalić. Stusność ma zawsze to co nowe, co powstające. Najważniejszym argumentem przemawiającym za socjalizmem jest to, że jest on rzeczywistością. Fakt tego nikt nie zmieni. Powstawanie i rozwój socjalizmu na gruzach kapitalizmu jest procesem nieodwracalnym.

Jednak nie tylko realizm zmusza nas do uznania nowej rzeczywistości. Jako katolicy obowiązani jesteśmy do wartościowania za pomocą kryteriów, jakie nam dają niewzruszone zasady naszej wiary. I właśnie w świetle tych zasad ocenici musimy socjalizm jako system doskonalszy od kapitalizmu, system w nieskończenie pełniejszym stopniu zapewniający realizację sprawiedliwości społecznej.

Kapitalizm w początkowym okresie swego rozwoju przynosił wyzwolenie społeczne tym wszystkim, którzy znajdowali się w okowach poddaństwa. Szybko jednak stare formy niewoli, związane z porządkiem feudalnym, zostały zamienione na nowe: na niewolę mas, która pociągała za sobą wszechwładza pieniądza i nieograniczone gromadzenie kapitału. Kapitalizm nie ma żadnej filozofii, nie ma żadnej myśli ani idei — kapitalizm, to nie skrupowane niczym prawo do własności prywatnej, nie podporządkowanej żadnemu dobru wyższemu. W konsekwencji prowadzi to do wciąż rosnącej koncentracji kapitału, do jego rozrastania się w sposób pasożytniczy i zabójczy dla organizmu społecznego. Kapitalizm jest całkowicie sprzeczny z prawem natury: koncentracja kapitału prowadzi do likwidacji własności małej i średniej. W miarę wzrostu koncentracja ta coraz bardziej uniemożliwia równomierny rozdział dóbr — kapitalizm jest więc niesprawiedliwy z samej swej natury. Dlatego też jest on najgłębiej niemoralny. Żaden system społeczny nie jest tak głęboko sprzeczny z chrześcijaństwem jak kapitalizm. „Jest on bezbożny w swej strukturze. Złoto jest jego bogiem, a nie Ten, który ogłosił dla wszystkich dostęp do „złota”, zarówno do złota — produktu ziemi lub warsztatu, jak i do złota pochodzącego z własności i pracy. Kapitalizm jest bezbożny nie w filozofii, której nie posiada, lecz w swej praktyce, która — nie jest to wcale grą słów — jest całą jego filozofią: praktyce nienasyconych pożądań, łupieżstwa, chciwości, wszechwładzy panowania” (G. della Torre: „Kościół a kapitalizm”).

W chwili obecnej świat kapitalistyczny widząc w toku przemian historycznych swój zbliżający się kres, swój rozkład i zupełną słabość ideologiczną, chce się ratować za cenę rozpętania szaleńczej wojny, grożącej zniszczeniem całej kultury i cywilizacji. Problem ten urasta do rozmiarów największych. Nowy świat socjalistyczny powstawał poza chrześcijaństwem. Teoretycy i kierownicy świata socjalistycznego stoją na gruncie świeiatopoglądu, który jest diametralnie przeciwny światopoglądowi katolickiemu. Realizują oni jednak no-

wy porządek, który umożliwia sprawiedliwość społeczną, zapewnia właściwy rozdział dóbr, przynosi wyzwolenie narodom i klasom uciesionym. Ten nowy porządek zapewnia pełniejszą realizację tych samych zasad społecznych, które wynikają z doktryny Kościoła, z zasad chrześcijaństwa.

Jakież więc ma być nasz stosunek do socjalizmu? Czy mamy ustosunkowywać się wrogo do nowego porządku tylko dlatego, że jest on dziełem ludzi o innych poglądach, czy mamy zachowywać obojętność tylko dlatego, że nie my a inni dokonali tego, czego myśmy nie potrafili, a co było naszym obowiązkiem?

Nie. Ludzie o różnych poglądach mogą ze sobą współdziałać, powinni ze sobą współdziałać, ilekroć łączy ich jakiś wspólny cel.

Nas łączy jedno: wiara w człowieka, dążenie do stworzenia porządku społecznego, który zapewni lepsze warunki życia jednostki, umożliwi pełniejszą realizację jej człowieczeństwa. To określa płaszczyznę naszego współdziałania. To zarazem stanowi najpoważniejszy argument przemawiający za naszym zaangażowaniem we współtworzenie nowej rzeczywistości.

Nowa, powstająca rzeczywistość nie opiera się na założeniach naszej wiary. Czyż jednak znaczy to, że nie ma w niej miejsca dla Kościoła? Nie. Kościół może istnieć i w tych cywilizacjach, które się poza nim zrodziły. Chrześcijaństwo żyło życiem najbardziej intensywnym w pierwszych wiekach, w łonie cywilizacji łacińskich i germańskich, powstałych poza Kościołem i ukształtowanych bez jego wpływu.

PEŁNE i intensywne życie Kościoła w łonie jakiejś cywilizacji jest równocześnie pełnym jego oddziaływaniem.

„Aby takie oddziaływanie Kościoła było możliwe, konieczne jest odkrycie pełnego uniwersalizmu poprzez uwolnienie go od naleciałości wszystkiego, co przemijające, a jednocześnie związane tylko z minioną epoką.”

Zespolenie Kościoła i cywilizacji nie może odbywać kosztem rezygnacji Kościoła z jego zasad — przeciwnie, poprzez ich najpełniejszą realizację. Nie chodzi o to, aby Kościół aprobował to, co w danej cywilizacji jest niedoskonałe, ale aby przyjął to wszystko, co jest w niej konstruktywne i twórcze.

JESTEŚMY katolikami i dlatego nic nas nie może zwolnić z odpowiedzialności za bieg wydarzeń, za świat, w jakim żyjemy. Jesteśmy obowiązani do uczestniczenia w nim nawet wtedy, gdy jest to niewygodne. Nie jesteśmy tylko widzami — jesteśmy w tym świecie zaangażowani; faktu tego nie potrafimy zmienić. Jako katolicy jesteśmy także obowiązani do przyjęcia pewnej postawy czynnej, którą nazywamy apostołstwem. Z tego też trzeba wyciągnąć konsekwencje.

Nieobecni nigdy nie mają racji. Gdy zajmujemy postawę bierną czy wyczekującą, gdy sami stajemy gdzieś na uboczu, poza biegiem życia, gdy uchylamy się od zaangażowania — bierzemy na siebie najcięższą odpowiedzialność.

Świat kapitalistyczny jest obcy prawdziwemu duchowi Kościoła. Jego zasady są jak najbardziej dalekie zasadom chrześcijaństwa. Z całą pewnością Kościółowi bliższy jest socjalizm. Jak więc wytłumaczyć fakt, że tak często napotyka on na opór w środowiskach katolickich? Czemu tak wielu katolików skłonnych jest bronić ustroju

Oficer Dawid Larder opowiada...

...Byliśmy pierwszorzędnie zamaskowani i tamci zupełnie nie spodziewali się zasadzki. Ale w momencie gdy wychodzili na polanę — jednemu z moich ludzi fatalnie szczenił się odsuwany bezpiecznik automatu. To ich ostrzegło i uszyszy trzej błyskawicznie skoczyli do tyłu. Otworzyliśmy ogień. Jednego dosięgnęliśmy od razu, wbiegł mi prosto pod muszkę. Dostał sporą porcję kul w kark i łopatki i był gotów na miejsce. Drugi przebiegł tylko parę kroków i zwałił się w trawę prawie wprost przeciwną celną serią mego kaprala. Trzeci jednak zdążył dać nura w wysokie zarośla, a oddalający się szybko trzask tamanych gałęzi dowodził, że ucieka. Puściłem jeszcze w tamą stronę na ślepo płaską, wachlarzową serię z mego Stena, po czym wyskoczyliśmy wszyscy z ukrycia i rzuciliśmy się w pogoń. Wyraźne ślady krwi na liściach wskazywały, że tamten jest jednak ranny — i to porządnie... Rzeczywiście, schwyciliśmy go bardzo szybko, bo zastrawił i zemdał. Nie bawiliśmy się z nim długo. Wpakowałem leżącemu parę kul w głowę i już było po wszystkim.

Przeszukaliśmy — zgodnie z rozkazem — bardzo starannie wszystkie trzy ciała, ale nie znaleźliśmy nic ciekawego. Jeden miał ze sobą w płóciennym woreczku kilkanaście surowych ziemniaków, nadgrzany kromkę chleba i pudełko zapalek. Drugi — kilka półówek papierosów, cygarniczkę z bambusa i maty, zatłuszczony elementarz, zawierający krótkie czytanki angielskie dla początkujących, z objaśnieniami pisanymi w miejscowym narzeczu Kikuyu. A trzeci w ogóle nie miał przy sobie nic — oprócz starej, podartej koszuli przewieszanej sznurkiem wokół bioder...

Nie zabrałem ze sobą tuszu dla dokonania odcisków palców. Wobec tego jeden z moich ludzi urznął w przegubach prawe dłońe zabitych. Owinęliśmy je w gazetę i zabraliśmy ze sobą do komendy obozu dla identyfikacji.

W drodze powrotnej mój kapral zwrócił mi w pewnej chwili uwagę, że mam odpryski mózgu na spodniach i butach...

Ta makabryczna relacja, która może przypisać o dreszcz najtwardszego nawet człowieka — to fragment listu. Listu swego do matki. Tak mianowicie opisywał przed kilku miesiącami jedną ze swych „przygod wojennych” 19-letni Anglik, David Larder, młodszy oficer 1-go batalionu Regimentu Devonshire, przebywającego z „misją cywilizacyjną” w Kenii. I list ten kończy Larder takim oto ustępem:

...Dziś znowu brałem udział w pacyfikowaniu jednej z wsi murzyńskich, podejrzanych o sympatyzowanie z partyzantami. Ja sam zapaliłem miotaczem ognia pięć chat, a w sumie puściliśmy ich z dymem przeszło czterdzieści... Prawie trzytysięczną znowu bez dachu nad głową... Widziałem jak żołnierze bili opieszale kolbami karabinów... Co się stało ze mną, do licha, co się stało? Chwilami wierzyłem mi się nie chce, że to ja sam, własnoręcznie biorę udział w tych okropnościach i postępnie wypełniam najnieczystsze rozkazy! Mam już tego wszystkiego zupełnie dość.

Tak oto wygląda brytyjska „misja cywilizacyjna” oglądana oczy-

ma jednego z jej uczestników. O obraz ten mówi sam za siebie i wszelkie komentarze wydają się tu najzupełniej zbędne. Ale posłuchajmy dalej historii oficera Davida Lardera, bo jest ona wielce pouczająca.

Otóż chłopak ten pewnego dnia uznał, że ma już naprawdę dość i postanowił sprowokować wydale nie go z armii. Wysłany na patrol, sprowadził swój pluton umyślnie o półtorej godziny przed wyznaczonym czasem do koszar, a następnie — postawiony do raportu karnego za złamanie dyscypliny wojskowej — nie próbował nawet podawać jakiegokolwiek usprawiedliwienia. Powiedział tylko krótko: „Postępujemy w Kenii jak Hitlerowcy. Nie chcę na to dłużej patrzeć. Rezultat był taki, jakiego oczekiwałem: usunięcie z zawodowej służby wojskowej.”

Larder wrócił do Angli i tu — nie namyślając się długo — opublikował różne przywiezione ze sobą z Kenii materiały, między innymi szereg własnoręcznie przez siebie wykonanych fotografii. A w wydawczym prasowym podał korespondentem sporą porcję szczegółów, od których włosy dęba stanęły na głowie nawet posłom brytyjskiego parlamentu.

Tak więc Larder opowiedział np. dokładnie o przyjętym powszechnie wśród wojsk kolonialnych w Kenii zwyczaju ucinania zabitym tubylcom dłoni w celu dokonywania zdjęć daktyloskopowych. Zdarzało się nieraz — opowiada Larder — że te krwawe strzępy ludzkiego ciała psy obnosiły w pustkach po całym obozie. Przywykliśmy do tego i przestało to już robić jakiegokolwiek wrażenie. Jednemu z moich kolegów opakowano kiedyś przed wyomarszeniem taką dłoń do torbisty — ot, tak, dla kawału.

Larder potwierdził pogłoski o wyznaczeniu przez oficera premii za każdego zastrzelonego Murzyna, a nawet o istnieniu w tej dziedzinie nieoficjalnym, ale posiadającym cichą aprobatę dowódcza,

współzawodnictwie między poszczególnymi oddziałami. A tam, gdzie beznieszne były automaty, karabiny maszynowe i miotacze płomieni — Kulturrägerzy Jej Królewskiej Mości uciekali się do innych sposobów. Opylano np. całe polacie dżungli trującymi proszkami, aby zmusić ukrywających się w niej powstańców do poddania się z głodem. Trick ten wypróbowany został przez wojska brytyjskie po raz pierwszy na Malajach, gdzie warunki topograficzne kraju są nieco podobne.

Najbardziej jednak działały Lardero na nerwy brutalne metody postępowania z ludnością cywilną. W czasie masowych ewakuacji „podejrzanych” wsi, dawano ludność zaledwie kilka minut czasu na opuszczenie chat, co równało się konieczności pozostawienia całego niemal ruchomego dobytku. W czasie przesłuchiwań „podejrzanych” nie cofano się przed najokrutniejszymi metodami. Bicie i kopanie było na porządku dziennym. W czasie jednej z operacji wiosennych, przeprowadzonych przez mój batalion wraz z oddziałami brygady spadochroniarzy na północ od Nairobi — opowiada Larder — widziałem jak pewien sierżant przewrócił na ziemię i kopnął nogami młodą Murzynkę, będącą w bardzo zaawansowanej ciąży. Mąż owej kobiety, mimo że przed chwilą zbito jego samego niemal do nieprzytomności, zdołał wyrwać się wykręcającym mu ręce żołnierzom i rzucił się na owego sierżanta z pięściami. Wówczas tamten uderzył go z rozmachem kolbą automatu w twarz, miażdżąc mu wargi i wybijając z przodu wszystkie zęby. Murzyn upadł, zalany krwią, wielu ze stojących obok żołnierzy odwróciło głowę, widząc było, że mieli dość tych widoków. Sierżant ten nie był z mojej jednostki i nie miałem prawa wydawania mu jakiegokolwiek rozkazów, ale mimo to nie wytrzymałem. Podszedłem do niego i powiedziałem mu „prywatnie”, prosto w oczy: „I'd like

to kick your teeth out just in the same manner, you swine!” (Chętnie wybiłbym ci zęby w taki sam sposób, ty świnię). Ten facet zgłószył potem na mnie zażalenie do swego przełożonego i miałem nawet z tego powodu ostrą reprimendę od mego porucznika.

Wielce osobliwe rzeczy opowiedział również Larder o kolonialnym systemie sądownictwa. W więzieniu w Nairobi widział on np. Murzyna skazanego na pół roku za kradzież... pudełka zapalek. Inny znowu dostał wyrok 18 miesięcy za kradzież dwóch bochenków chleba.

W prasie brytyjskiej i w Colonial Office wywołała sprawa Lardera niemałą konsternację. Sprawa ta była nawet jednym z czynników, który wydatnie przyspieszył wysłanie do Kenii specjalnej komisji parlamentarnej dla zbadania na miejscu owych docierających do Anglii pogłosek o okrucieństwach stacjonujących tam wojsk. Komisja pojechała, poszperała po Kenii i po trzytygodniowym pobycie wróciła do kraju, przyznając w ogólnym sprawozdaniu, że niektóre jednostki wojskowe w tym są istotnie niewłaściwego postępowania... Niewłaściwe postępowanie! Prawda — jaka elegancja sformułowań?

Skutek był taki, że dla uspokojenia wzburzonej opinii publicznej wydano demonstracyjnie zakaz słowosowania niektórych najbardziej drastycznych metod — np. wspomnianego już zwyczaju „kolekcjonowania” rąk zabitych tubylców. Jeśli się jednak ktoś budził, że w polityce brytyjskiej w Kenii zajdzie po tym incydencie jakaś istotna zmiana, rozczarował go bardzo prędko sam minister kolonii, lord Littleton, który w czasie debaty parlamentarnej oświadczył ni mniej ni więcej tylko tak: Nie damy się wypchnąć z Kenii. Jesteśmy w tym kraju po to, aby doprowadzić go w przyszłości do samodzielności politycznej i gospodarczej, a nie po to, aby pozostaw-

(Dokończenie na str. 7)

JANUSZ STEFANOWICZ

KONTYNET NIE BARDZO UJARZMIONY

24 sierpnia o świcie przywódca wojskowi zmusili 71-letniego Getulio Dornellas Vargasa do złożenia urzędu prezydenta. Prowadził on rozmowę z rodziną do około ósmej rano. Potem poszedł do swego pokoju, gdzie przebrał się w piżamę z wyhaftowanym monogramem. Prawą ręką przyciskał mocno tułą rewalweru do piersi, kciukiem lewej pociągając za spust. Zmarł, zanim z sąsiedniego pokoju dobiegł do niego syn, Lutero. (Newsweek, 6.IX.54).

to niektóre pisma burżuazyjne — jako szczerego demokrate, którego jedyną troską było polepszenie do- li ludu. W istocie rząd jego, po ponownym dojściu do władzy w styczniu 1951 roku, nie zarucił faszystowskiej polityki, zabraniając legalnej działalności organizacjom demokratycznym, ścigając działaczy partii komunistycznej i podpisując takie akty międzynarodowe, jak pakt o współpracy wojskowej ze Stanami Zjednoczonymi zawarty w październiku 1952 roku, czy osławioną rezolucję antykomunistyczną na X Konferencji Panamerykańskiej w Caracas w kwietniu bież. roku.

Niemniej rząd Vargasa, idąc politycznie całkowicie po linii USA, ujawniał pewne niezależne odruchy jeśli chodzi o dziedzinę ekonomiczną. Starając się lawirować między żądaniami mas a naciskiem wielkiego kapitału zagranicznego, Vargas, prócz szafowania demagogicznymi zwrotami, zmuszony był przeprowadzić kilka drobnych reform w dziedzinie gospodarki rolnej, a także, ostatnio, ogłosić ustawę o monopolu państwa w przemyśle naftowym, która miała być wymierzona przeciwko spółkom amerykańskim (Standard Oil). Musimy pamiętać, że Brazylia jest jednym z największych, obok Argentyny i Chile, państw Ameryki Południowej i że kraje te, znane pod nazwą „grupy ABC” stanowią łączną większą siłę gospodarczą, niż cała reszta Ameryki Łacińskiej. Dlatego wydarzenia w Brazylii należy uważać w pewnym sensie za typowe dla układu stosunków: Stany Zjednoczone — Ameryka Łacińska.

Interwencja w Gwatemali zapoczątkowała powrót USA do „Big Stick Policy” Teodora Roosevelta sprzed pół wieku, polityki otwartej interwencji i organizowania przewrotów. Sprawa Vargasa jest nowym tego dowodem. Jakież są przyczyny „ostrego kursu” tak nie licującego z szlachetnymi deklaracjami, hojnie udzielanymi w pierwszych latach powojennych w Meksyku, Rio de Janeiro i Bogocie? Odpowiedź nie jest trudna. Fakt zastosowania przez USA tak drastycznych środków, jak usunięcie prezydenta, i to zastużenie Stanom prezydenta — w silnym bądź co bądź państwie — z powodu polityki ekonomicznej, ułamkowo za ledwie naruszającej monopolistyczną ich pozycję, dowodzi chyba jasno, że USA zaczynają niepokoić się o dalsze utrzymanie swojej hegemonii w tej części amerykańskiego kontynentu.

Przypomnijmy w skrócie: — II wojna światowa przyspieszyła proces integracji Ameryki Łacińskiej jako kolonii Stanów Zjednoczonych. Gospodarczo — wyeliminowano dwu głównych partnerów; Niemcy z powodu obrotu, jaki przyleżała wojna, Anglię ze względu na jej ogromne powojenne trudności gospodarcze. Państwa łacińskie eksportowały surowce dla koncernów amerykańskich i żywność dla przemysłowych stanów północnych. W imporcie wyrobów gotowych były zależne całkowicie od USA, bowiem tzw. „industrializacja”, idąca według dyrektywy północnego sąsiada, polegała jedynie na rozbudowie przemysłu górniczego. Stany wzmocniły jeszcze bardziej swoją pozycję monopolistyczną narzucając krajom Ameryki Łacińskiej umowy oparte o tzw. IV punkt Trumana, będący programem ekspansji kolonialnej.

W ciągu pierwszych lat powojennych USA opanowały główne gałęzie przemysłu brazylijskiego: naj-

większe kopalnie manganu i żelaza znajdują się w rękach koncernu US Steel Corp. (grupa Morgana) oraz Bethlehem Steel Corp. Koncerny północno - amerykańskie kontrolują przemysł elektrotechniczny, spożywczy, montaż samochodów i produkcję opon, cementownie, większą część przemysłu chemicznego i metalurgicznego itp. W sferze politycznej USA, wykorzystując fakt, że w czasie wojny były największym na tym kontynencie państwem koalicji antyfaszystowskiej, narzuciły krajom łacińskim system ścisłego podporządkowania w ramach Organizacji Państw Amerykańskich oraz drogą układów wojskowych. Zdawałoby się, że kolonizacja kontynentu jest kompletna. A jednak... od 1950 roku zaczyna się coś psuć w obu dziedzinach stosunków między Stanami i południowym kontynentem.

W sterze ekonomicznej na rynku Ameryki Łacińskiej zaczynają powracać dawni partnerzy. Anglia, która zawiera umowy handlowe z Argentyną i Brazylią, a przede wszystkim Niemcy zachodnie. Te ostatnie skierowały swoją ekspansję szczególnie właśnie na Brazylię. Jak podaje Neues Deutschland, działają one w gałęziach przemysłu żelaznego i stalowego, budowy wielkich maszyn, samochodowego, elektrycznego, budowlanego i chemicznego. Kilka faktów — Mehnesmann-Werke z Düsseldorfu budują w Belo Horizonte w Brazylii stalownie z kapitałem 400 milionów dolarów, przy czym 80 proc. kapitału należy do Niemców. Klockner-Werke budują podobną stalownię w Espirito Santo w Brazylii. Daimler-Benz buduje w tym kraju swoje zakłady samochodowe. Volkswagen-Werk urządziła swe fabryki między Rio de Janeiro a Sao Paulo. Podobnie w Argentynie — fabryka maszyn Fahra zakłada Fahr-Argentina SRL w Buenos Aires, a firmy Orenstein & Koppel oraz Lübecker Maschinen zakładają swoje filie budowy wagonów, traktorów i maszyn w Argentynie. W tej sytuacji monopole USA dążą do obsadzenia na stanowiskach prezydentów i ministrów ludzi jak najsilniej z nimi związanych, dających rękojmię całkowitego posłuszeństwa.

Zresztą obawy Stanów Zjednoczonych nie ograniczają się tylko do zagadnień ekonomicznych. Po oszołomieniu lat wojennych wrzasta opór i dążenie mas ludowych do prawdziwej niepodległości. Widzimy stałą walkę z mianowanymi przez USA przywódcami republik; wyrazem jej jest wojna partyzancka narodu paragwajskiego ciągnąca się już ponad trzy lata, powstanie w Nicaragui z roku 1951, wojna narodowa w Costa Rica, ruch oporu w Chile, wreszcie walka o niezależność w Porto Rico (pamiętamy te wiosenne strzały w Kongresie amerykańskim). Z drugiej strony masy robotnicze protestują przeciw zalewowi ich krajów przez produkty USA i przeciwko upadkowi przemysłu krajowego. Znaną są strajki na Kubie, w Brazylii, Argentynie, Chile i Meksyku.

W sprawie Vargasa mamy dowód, że Stany Zjednoczone widzą i doceniają niebezpieczeństwo płynące dla nich z rozszerzenia się ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Stany Zjednoczone nie dowierzają już swoim starym pupilom, utrzymującym przynajmniej pozory demokracji burżuazyjnej. Wprowadzają na ich miejsce otwarcie faszystowskie junty wojskowe, oparte o wojsko, policję i... banki amerykańskie.

Janusz Stefanowicz

TADEUSZ GÓRSKI

PRAKTYKA I SZKOŁA

TRZEBA od razu stwierdzić, że w stosunku do rzeczywistego zapotrzebowania ciągle jeszcze jest za mało rolników-nauczkowców i rolników fachowców. Wystarczy przytoczyć kilka liczb, kilka faktów. Przed wojną w naszym kraju — którego struktura była w przeważającej mierze rolnicza — posiadaliśmy osiem wydziałów uniwersyteckich i politechnicznych z zakresu nauk rolniczych. Ten stan rzeczy uległ w okresie powojennym radykalnej zmianie. Już w roku 1947-48 liczba wydziałów oraz samodzielnych uczelni rolniczych w naszym szkolnictwie wyższym wzrosła do osiemnastu, a obecnie wynosi dwadzieścia osiem. Ponadto — niezależnie od znacznej rozbudowy dotychczasowych uczelni — utworzone zostaną nowe w Szczecinie, Białymostku, Rzeszowie. W ciągu dwudziestu lat międzywojennych, wyższe studia rolnicze ukończyło w naszym kraju mniej absolwentów niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Przytoczenie powyższych liczb i faktów jest potrzebne, ponieważ wskazują one, że równoległe i proporcjonalnie do zachodzących w naszym kraju przeobrażeń społeczno-gospodarczych wzrastają zadania wymagające wykształcenia coraz to wyższych kwalifikacji. Z analizy zadań postawionych przed rolnictwem wynika, że zapotrzebowanie na kwalifikowanych rolników, dobrych fachowców będzie stale wzrastać. Zapotrzebowanie to muszą pokryć nasze wyższe uczelnie rolnicze. W ciągu trzech, czterech lat ilość samodzielnych pracowników naukowych zdolnych przejąć inicjatywę kierowania i wypracowywania nowych metod uprawy, hodowli i organizacji naszego rolnictwa, musi wzrosnąć kilkakrotnie. Równocześnie tysiące młodych absolwentów; inżynierów i magistrów nauk rolniczych musi wprowadzić w życie te zdobycze.

Przed uczelniami rolniczymi w naszym szkolnictwie wyższym stoją także zadania zacieśniania współpracy naukowców z rolnikami.

Jak te zadania są w praktyce wykonywane? Postuśmy się przykładem Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie.

Obejmuje ona zasięgiem swej działalności tereny województwa śląskiego, krakowskiego, południowe części kieleckiego i rzeszowskiego. Z rejonu tego rekrutują się niemal wyłącznie studenci do WSR. — Ponadto jest on przedmiotem badań i prac, jakie krakowscy naukowcy przeprowadzają w celu opracowania (zgodnie z wymaganiami nauk rolniczych i ekonomicznych) perspektywicznego planu rozwoju rolnictwa w poszczególnych okręgach. I tak naukowcy krakowskiej WSR przeprowadzili żmudne prace i badania rejonu rybnickiego w województwie śląskim. Po uwzględnieniu

wszystkich elementów dotyczących właściwości przyrodniczych terenu, rozmieszczenia gleb, zagęszczenia ludności itp. — ustalono, że właściwy rozwój gospodarki rolnej w tym rejonie winien pójść w kierunku intensyfikacji produkcji mleczno-warzywniczej. WSR opracowała również wytyczne dalszego rozwoju gospodarki rolnej w rejonach: nowohutnickim i górskich okolicach województwa krakowskiego.

Z rezultatów tych badań i prac naukowych korzystają w pełni wojewódzkie i powiatowe komisje planowania gospodarczego, prezydya wojewódzkich i powiatowych rad narodowych — zarówno przy ustalaniu, jak i realizacji lokalnych planów gospodarczych. Za ich pośrednictwem, dzięki umiejtnie prowadzonej pracy uświadamiającej oraz instruującej, można wpływać, aby dalszy rozwój gospodarstw spółdzielczych i indywidualnych szedł w kierunku zgodnym z wymaganiami nauki i potrzebami społeczeństwa.

Jeżeli uwzględnimy powyższe okoliczności, jeżeli uwzględnimy to, że przeprowadzone przez wyższe szkoły rolnicze badania i prace naukowe obejmują stopniowo teren całego kraju — docenimy lepiej, jak ogromne gospodarcze znaczenie będzie miało praktyczne zastosowanie wyników tych badań dla perspektywicznego rozwoju polskiego rolnictwa.

Dla ilustracji tego problemu — warto przytoczyć pewne przykłady. Gospodarz Zieliński z Goszczy (powiat Miechów), gospodarując na 3,5 ha ziemi, hoduje trzy krowy, od których w ubiegłym roku odstawił 15 600 l. mleka, a więc (uwzględniając konsumpcję własną) uzyskał przeciętną wydajność od jednej sztuki około 6 tysięcy mleka rocznie. Nie pobit on oczywiście krajowego rekordu, ale osiągnął wyniki wyższe od przeciętnej wydajności krow w Danii, kraju o wysoko postawionej hodowli, osiągnął wyniki nieprzeletne w porównaniu z niską jeszcze w pobliskiej okolicy wydajnością krow. Stosowanymi przez Zielińskiego ciekawymi metodami hodowli i żywienia krow zainteresowała się Wyższa Szkoła Rolnicza w Krakowie.

Student drugiego stopnia studiów, inż. Pietruszewski przygotowuje obecnie pracę magisterską, której tematem jest zbadanie i opracowanie z punktu widzenia naukowego metod stosowanych przez gospodarza z Goszczy. Po dokładnym zapoznaniu się z nimi oraz po sprawdzeniu ich praktycznej użyteczności w jednym z majątków doświadczalnych krakowskiej WSR, będzie można osiągnięcia Zielińskiego upowszechnić i spopularyzować w szerszym zakresie.

Na wielu polacich naszego kraju procesy erozyjne niszczą tereny

uprawne, położone głównie na stokach górskich, a także na niedużych wzniesieniach. W podkrakowskiej spółdzielni produkcyjnej w Libertowie poważnie zaawansowana erozja zuboża gleby o najbardziej wartościowe składniki, a tym samym przynosi gospodarce spółdzielczej duże straty. Rezultatem współpracy, jaka od dawna już utrzymuje się między spółdzielcami z Libertowa a naukowcami z krakowskiej WSR, było między innymi podjęcie wspólnej decyzji przyjęcia z pomocą ziemi i wypowiedzenia bezwzględnej walki erozji. Naukowcy, po przeprowadzeniu żmudnych badań, opracowali plan odpowiedniego ułożenia pól. Spółdzielcy, zgodnie z zaleceniami naukowców, zreorganizowali własne gospodarstwo. Tego typu reorganizacja przyczyniła się do stopniowej progresji pólów gwarantującą spółdzielni libertowskiej właściwy rozwój. Spółdzielcy korzystają również z innych form pomocy ze strony krakowskich naukowców, którzy interesują się całokształtem pracy spółdzielni, pomagają przy opracowywaniu najbardziej racjonalnego planu gospodarczego, przy organizacji pracy zespołowej, zalecają stosowanie nowych metod uprawy, hodowli.

Przykładów takich — wziętych z działalności tylko Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie — można przytoczyć więcej.

A przecież — musimy to sobie uświadomić — akcja współpracy naukowców z chłopami — zwłaszcza z tzw. mistrzami urodzaju lub hodowli, względnie — jak się to popularnie określa — racjonalizatorami rolnictwa oraz z poszczególnymi gospodarstwami spółdzielczymi jest inicjowana i stale jej zakres jest poszerzany przez wszystkie wyższe szkoły rolnicze, stąd jej ogromne znaczenie w skali ogólnokrajowej.

Współpraca tego rodzaju zapewnia gospodarce narodowej, a przede wszystkim jej bardzo ważnej gałęzi — rolnictwu, niewątpliwie poważne efekty. Osiągają z niej korzyści zarówno chłop, jak i naukowiec. Pierwsi mają możliwość poszerzenia zakresu i pogłębienia własnych wiadomości teoretycznych. Drugą bezpośrednią korzyścią z naukowcami poznają oni najnowsze metody uprawy ziemi, hodowli itp., które z kolei mogą wypróbować i zastosować na terenie własnego gospodarstwa bądź indywidualnego, bądź spółdzielczego. Naukowcy natomiast zbierają z tych kontaktów bogaty materiał, którego poznanie w dużym stopniu ułatwia im orientację, w jakim kierunku należy prowadzić badania i prace naukowe, w jaki sposób szkolić kadry młodych fachowców, aby w tej pracy nie odrywać się od zadań i potrzeb określonych gałęzi rolnictwa, ale jak najmocniej się z nimi zespolić.

Tadeusz Górski

NARODZINY I ZMIERZCH LEGENDY

ATMOSFERA życia narodowego w okresie 150-letniej niewoli i zaborów, nieudanych powstań, ustawniczych klęsk i tragicznych złań sprzyjała narastaniu i rozpowszechnianiu w świadomości społeczeństwa fałszywych legend i mitów narodowych.

W tym tak trudnym okresie dziejowym, piśmiennictwo historyczne, literatura piękna i sztuka o tematyce historycznej przepadła zupełnie wyjątkowo w budzeniu świadomości narodowej i wychowaniu politycznemu społeczeństwa.

Owczesni pisarze i artyści podejmując tematykę historyczną w warunkach niewoli i wzmoczonej cenzury nieraz świadomie rezygnowali z pełnej prawdy i ścisłości naukowej na rzecz aktualnych celów społecznych, z których najważniejszym było „krzepienie” zwątpiających serc wizjami świętej, choć odległej przeszłości.

Nic dziwnego, że przy takich założeniach literatury i sztuki polskiej w XIX w. wyidealizowały się w psychice polskiej idealistyczny i mało krytyczny kult przeszłości.

Trylogia Sienkiewicza jest najbardziej chyba wymowną konsekwencją idealistycznego pojmowania dziejów, a jej przemożny wpływ na kilka pokoleń polskich stanowi zmienną ilustrację politycznego i wychowawczego kształtowania świadomości narodowej przez historiografię i literaturę powstałą w okresie zaborów. Toteż w owych czasach każda próba przeciwstawienia się psychozie fałszywych tradycji narodowych, każdy głos rzeczowy krytyki i rozważni spotykał się z wrogą reakcją kierowniczych klas społeczeństwa, które widziały w tych usiłowaniach zamach na świętości narodowe i z całą bezwzględnością piętnowały burzliwiec legend i baśni.

SPOŚRÓD licznych legend historycznych do dziś pokutujących w świadomości ogółu — poetycka legenda o Zygmuncie Augustynie, Barbarze i Bonie wydawala mi się zawsze specjalnie szkodliwa i wymagająca frontalnego ataku. Podjęła się tej roli Halina Auderska. Jej ostatnia sztuka „Rzeczpospolita zapłaci”, wystawiana obecnie w Warszawie stanowi odważną próbę rewizji tematu, który posiada bogatą, półtorawiekową tradycję literacką. Romantyczne tradycje życia i miłości ostatniego z Jagiellonów rzutowane na tło wielkich wydarzeń dziejowych Polski XVI w. stanowiły wymarzoną wprost fabułę — wielkiego dramatu dla pisarzy i poetów okresu niewoli.

Z jednej strony pasjonująca intryga miłosna mieniaca się bogactwem rekwizytów, barwnym przeplechem renesansowego życia, różnorodną i ciekawą galerią wybitnych postaci, a nade wszystko potężnym ładunkiem napiętności ludzkich, jakich w tej mierze nie znali ani przedtem ani potem dzieje Wawelskiego Zamku.

Z drugiej strony — to historyczne... Polska u szczytu potęgi, Złoty Wiek... Szczytowy okres świętości, jakże drogi sercom polskim w dobie rozbrojonej. Ile morala dla współczesnego pokolenia można było wyrazić w takim na miarę „Hamleta” zakrojonym dramacie! Począwszy od Wybickiego i Felickiego, poprzez Kraszewskiego i Wyspiańskiego, kończąc na Rydlu — i nie zapominając o sugestywnych płótnach Matejki i naukowych rozprawach wielu historyków — zrobiono wszystko, aby apoteozie Polski Zygmunto-wskiej nadać jak najbardziej fałszywy sens... Nie bowiem innego, niż tęsknotą za utraconą wielkością skłoniła Felickiego i jego licznych naśladowców do przedstawienia Zygmunta Augusta w całym blasku podwójnej wielkości: jako króla i jako człowieka.

Podobne walory moralne i umysłowe przypisano oczywiście jego obłąkaniu. — Barbara, na wzór Jadwigi byłaby zdolna do poświęceń zarówno korony, jak i szczęścia osobistego dla dobra kraju, gdyby jej dostoyny małżonek nie odwiódł jej od tego zamiaru swą urzekającą i niezmierną miłością. Zgymnt personifikując majestat monarszy walczy nie tylko o legalizację swego małżeństwa. Co ciekawsze, walczy on o prawowitość i potęgę Rzeczypospolitej, którą warcholczy i jeszcze niedojrzała politycznie szlachta oraz pospółstwo miejskie za namową Bony i kilku butnych magnatów — zamierza osłabić buntem przeciw prawowitemu władcy. Te wniosłe cele Augusta paraliżuje królowa-matka, okrutna i mściwa Włoszka. Pozyskuje sobie część szlachty i możnowładców — bądź w imię anarchicznej wolności — bądź dla uzyskania łask i przywilejów. Pretekstem do walki o przywileje staje się właśnie megalomania królowej. Wreszcie Zygmunto-wi i Bar-

barze udaje się zdobyć serca senatorów i posłów. Idea zgody narodowej zwycięża, lecz Barbara pada ofiarą trucizny.

Ta pozornie ponętna wizja poetycka niezłomnego króla - patrioty i romantycznego kochanka, szlachetnej i cnotliwej Barbary, Bony-trucicielki i anarchicznej szlachty, nie rozumiejącej dobra ojczyzny, w swym zasadniczym schemacie przetrwała od pierwszych lat XIX w. do naszych czasów. Jeszcze w programie filmu „Barbara Radziwiłłówna” z 1938 r. czytamy m. in.: „W wieku XVI Polska opromieniona złotym słońcem renesansu znajdowała się u szczytu potęgi. W owym to czasie, w roku 1544 objął rządzą na Litwie Zygmun August... I nagle jak burza wdziera się do beztroskiego życia młodego króla miłość. Wielka romantyczna miłość do Barbary Radziwiłłówny. Ale wszystko jest przeciw nim. Matka królewska, Bona, pragnie dla syna żony z królewskiego dworu. Młody król musi zwałczyć niebotyczne przeszkody (podkr. J. S. B.) zanim udaje mu się potajemnie zaślubić Barbarę uczynić prawowitą swą małżonką i królową. Zahartowany jednak w walce o swą miłość, (podkr. J. S. B.) zwycięża. Los chce przecież inaczej. Barbara zostaje otruta”.

Wystarczy zapoznać się z przedwojennymi podręcznikami szkolnymi, lub — co gorsza — z pracami wielu dawniejszych historyków, aby przekonać się, że na podobnie bałamutnych i cikliwych baśniach całe pokolenia polskie kształtowały swój stosunek do najbardziej twórczej epoki w naszych dziejach. Ponieważ jednak baśnie te nie ograniczyły się do dworskiej intrygi miłosnej, lecz w świadomości społecznej sięgają integralnie do podstawowych zagadnień ideologicznych polskiego Odrodzenia — czas im położyć kres!

Pocytujcie za dużą zasługę Auderskiej zarówno to, że w sztuce swej zburzyła tę fałszywą legendę, jak i przede wszystkim to, że ukazała głęboką prawdę owych czasów.

W dziejach Rzeczypospolitej szlacheckiej — więcej, w dziejach walki o postęp w Polsce, w historycznym procesie formowania się narodu polskiego w nowożytnym znaczeniu — okres panowania Zygmunta Augusta posiada specjalne znaczenie. Wtedy to po raz pierwszy występuje do walki o władzę klasa szlachecka jako samodzielna i zorganizowana siła społeczna z własnym konstruktywnym choć umiarkowanym programem państwowym, który na drodze legalnej lub nielegalnej walki będzie usiłowała przeprowadzić w drugiej połowie XVI w. Pretekstem do wystąpienia stronnictwa reformatorskiego stało się objęcie władzy przez Zygmunta Augusta. Osoba młodego władcy budziła powszechnie nadzieje reformatorskie. Pragnąc go związać z programem poprawy — Sejm jeszcze za życia starego króla mianował go naczelnym wodzem i uprawnili do mianowania biskupów.

Pozornie wszystko wskazywało na to, że młody władca stanie na czele stronnictwa egzekucyjnego — odbierze magnatom królewskiemu, opodatkując duchowieństwo i znieśli polityczny prymat tej warstwy, wzmocni skarb i wojsko, usprawni sądownictwo, zjednoczy Polskę z Litwą i Prusami. Za takim programem egzekucyjnym stał cały „naród” szlachecki i mieszczaństwo.

Dla „lewicy” stronnictwa reformatorskiego z Fryczem na czele, program ten nie był wystarczający pod względem społecznym, lecz torował drogę dalszym przemianom. W tym przemianowym momencie wiele spraw i decyzji zależało od stanowiska, jakie na wstępie swych rządów zajmie Zygmun August. Jako koronowany za życia ojca następcą tronu, miał on wykonać przysięgę koronacyjną złożoną w 1537 r. Zgodnie z jej treścią król „dopiero wtedy będzie miał prawo wykonywać władzę, gdy przed tym przywileje królestwa nie tylko zatwierdzi, ale też doprowadzi do egzekucji”, a zwłaszcza do Unii z Litwą, którą uważano za „najpierwszy i najprzedniejszy artykuł podawany ku egzekwowaniu”.

Wbrew optymistycznym oczekiwaniom, Zygmun August od pierwszej chwili panowania związał się z obozem magnackim i odstąpił przez 15 lat z całą konsekwencją będzie zwalczał ruch egzekucyjny, a kiedy w 1562 pod wpływem wydarzeń międzynarodowych przejdzie pozornie na jego stronę — większość reform bądź zniweczy, bądź wpłynie na zniekształcenie ich pierwotnego sensu, osłabiając ich trwałość i skuteczność.

Sejm Piotrkowski zwołany w kilka miesięcy po objęciu rządów przez ostatniego z Jagiellonów w 1548 r. był pierwszą próbą sił młodego króla, senatem stronnictwem egzekucyjnym. W historiografii i literaturze pięknej sejm ten jest upamiętniony walką o Barbarę. Tymczasem, wbrew pozorom, sprawa megalomanii królewskiej była tylko pretekstem do walki o egzekucję, o wykonanie przysięgi z 1537 r. Ponieważ Zygmun uchylił się od spełnienia słusznych żądań „narodu” szlacheckiego — wystąpił przeciw potajemnemu małżeństwu z Radziwiłłówną. Ale nawet w czasie najbardziej burzliwych obrad, izba poselska, jak to wynika z diariusza i korespondencji

ETIUDA NA PIĘĆ STRUN

1. noc

Powoli pełnę do zakratowanego okienka. Noc już spi, więc długo patrzę na zaśmieconą ulicę, na ciemne szyby okien, na sierść psa, zjezoną łękiem.

Zastanilem więc okno — ścianom nakazałem, aby nie przepuszczały żadnego szelestu życia. Na drzwiach umieściłem napis głoścący, że nie rozdzielam jałmużny.

Zadowolony z dzieła rozsiadłem się nad książkami.

Powoli przestrzeń wokół mojego domu zarosta martwym szronem. Drzewa uschły i świeciły mdo, jak sople lodu — nawet szkielety psów przymarzły do ziemi i nie krążyły po nocach.

Nic nie budziło ciszy. Czasem niepokoił mnie jeszcze głośniejszy stuk własnego serca. Więc zatrzymałem je tak, jak się zatrzymuje zegar.

Żadne ze wzruszeń nie miało do mnie dostępu — ani kolysanki narezdin, ani brzęk codziennych prac — ani skarga cierpienia.

W końcu odrzuciłem i książki — sypałem się z nich popiół obojętnych mi teraz myśli. Zatrzymałem tylko jedną „O naśladowaniu Boga”.

I tak trwałem samotnie — nareszcie doskonale. — Aż raz — pośrodku nocy zawolał mnie głos. Rozległ się w ciszy jakby nagłe zbudziło się piskię — głos umierającego dziecka — głos używający pomocy, głos nowonarodzony — głos człowieka.

Wybiegłem w noc, odartą z wszelkiego światła i w porwywie nadziei wyciągnąłem dłońe za uchodzącym głosem — ale opadała na nie tylko jedna drobna gwiazda śniegu.

Pochyliłem się nad nią w pokorze, bo przypomniała mi łzę.

3. dno



Ja tutaj leżę na dnie — umierające dziecko. Wszyscy odeszli w gąszcz swoich ciepłych godzin i zostawili mi do towarzysztwa tylko tęsą łaskę i poszarpaną książkę „Wesołe przygody”.

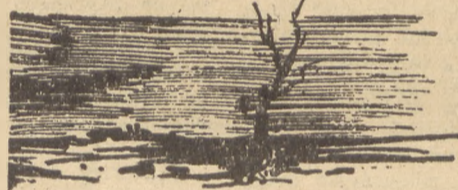
Czasem odwiedza mnie kot. Skrada się cicho i chwytając zębami mój cienki warkocz — myśli, że to mysz.

Okno jest wysoko i widać przez nie mokry bruk, na nim puste pudełka zapalek, strzęp gazety i liście akacji.

Raz cudzy gołąb zaczął dziobać w szybę. Zawolałam: — gołębiu. I uleciał. A raz słyszałam śmierć, jak przeleciała nad strychem, warcząc tak donośnie, że zatrzęsły się mury i tylny ze stropu przysypał mnie popiołem.

Am najciszej jest w nocy, tutaj gdzie leżę, na dnie. Wszyscy płyną przez głębokie sny jak topielcy i nie ma przy mnie ani kota, ani nawet lalki. Są tylko moje dwie ręce suche, jak uschłe gałązki. Wtedy zaczynam nucić po cichutku niemrawą kolysankę jakbym przyświecała zapalką i śpiew tu się w ciemnościach waty i dymny — przenika ściany, wspina się po drewnianych schodach, omija pokłady śpiących ciał, krąży ponad dachami cichymi jak martwe wyspy, pokonuje milczenie nocy, zwycięża tykot zegara i cienie dosięga, czując „O naśladowaniu” i wola donośnie i przyzywa cię abyś zszedł do mnie, tu gdzie umieram — na dno.

4. głos



Bywa samotność mądra jak układ systemów gwiazdnych. — Jest samotność mściwa i zimna jak ostrze miecza. — Ale najdoskonalsza jest samotność pogardy.

Są jeszcze takie księżycy błądzące w zimnych snach wymierających poetów. — Tłą się jak niepotrzebne zwierciadła, odrzucone na stos już skostniałych metafor. Więc tęsknią na próżno za rozległym niebem — przeraża je wycie psów.

Ale noc nie jest moim królestwem.

Są dzieci, które o tej porze pozostają tak bardzo same, że nie porównam ich losu ze smutkiem najdalszej gwiazdy. Umierają powoli na dnie drapaczy chmur, albo w podziemiach cuchnących dzielnic pysznych miast, które się syją krwią ze złota.

Ale noc nie jest moim królestwem.

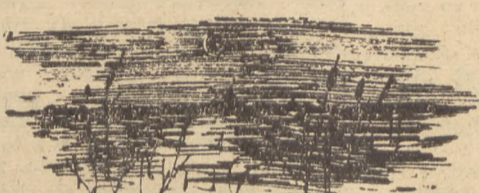
I są fałszywi prorocy, którzy długo w noc medytują nad książkami, szczęśliwi, że odgradzili się szczerze od rytmu świata, dumni, że potrafia gardzić jego cierpieniem.

Ale noc nie jest moim królestwem.

Ono dojrzewa w koronach starych drzew schyłkowych nad śniadym czołem ziemi, kiedy się odwraca w stronę słońca. I świeci w oknie najmłodszych domów pełnych śpiewu codzienności i kolysanek dobrego dzieciństwa.

Moje królestwo przeciera oczy w głębi twojego serca — mój bracie — mój ukochany, który wyciągasz ku mnie ręce potowe mi pomóc i mówisz: popatrz — już świta.

2. księżyc



Jestem także księżycem. Krążę milcząco i niedosiężny. Przekreślam pochody błękitnych olbrzymów i purpurowych karłów. Czasem dotykam mroźnej krawędzi mgławic i toczę się drogą mleczną, rozciągniętą nad nieskończonościami.

A teraz płynam w przerebli, opleciony palcami srebrnych wodorostów. Wtedy odnajduję mnie dzieci i z triumfem wyciągają z chrząszczającej wody, włoka, krząc, po śniegu, aż na małe podwórko. Potem tracą mnie po stromych schodach w głąb piwnicy.

głii, Niderlandów, czy choćby Francji — przez Frycza i radykałów były znikome, gdyby nawet jak najusilniej sprzyjał tej myśli ostatni z Jagiellonów.

Ale na dokonanie poważnych reform prawno - ustrojowych, zmierzających do zmiany układu sił wewnątrz klasy feudalnej, na zapoczątkowanie niesmiących prób sojuszu monarchii z mieszczaństwem było stać Zygmunta Augusta; władza królewska przed pierwszą elekcją posiadała wystarczającą rozległe uprawnienia. Poza tym stanowczo przeprowadzony program egzekucyjny musiałby doprowadzić do znacznie donioslejszych konsekwencji społeczno-ekonomicznych, niż to sobie wyobrażały masy szlacheckie i o tym nie należy zapominać.

W tym przelomowym momencie wiele spraw i decyzji zależało od stanowiska, jakie na wstępie swych rządów zajmie Zygmun August. Jako koronowany za życia ojca następcą tronu, miał on wykonać przysięgę koronacyjną złożoną w 1537 r. Zgodnie z jej treścią król „dopiero wtedy będzie miał prawo wykonywać władzę, gdy przed tym przywileje królestwa nie tylko zatwierdzi, ale też doprowadzi do egzekucji”, a zwłaszcza do Unii z Litwą, którą uważano za „najpierwszy i najprzedniejszy artykuł podawany ku egzekwowaniu”.

Wbrew optymistycznym oczekiwaniom, Zygmun August od pierwszej chwili panowania związał się z obozem magnackim i odstąpił przez 15 lat z całą konsekwencją będzie zwalczał ruch egzekucyjny, a kiedy w 1562 pod wpływem wydarzeń międzynarodowych przejdzie pozornie na jego stronę — większość reform bądź zniweczy, bądź wpłynie na zniekształcenie ich pierwotnego sensu, osłabiając ich trwałość i skuteczność.

Sejm Piotrkowski zwołany w kilka miesięcy po objęciu rządów przez ostatniego z Jagiellonów w 1548 r. był pierwszą próbą sił młodego króla, senatem stronnictwem egzekucyjnym. W historiografii i literaturze pięknej sejm ten jest upamiętniony walką o Barbarę. Tymczasem, wbrew pozorom, sprawa megalomanii królewskiej była tylko pretekstem do walki o egzekucję, o wykonanie przysięgi z 1537 r. Ponieważ Zygmun uchylił się od spełnienia słusznych żądań „narodu” szlacheckiego — wystąpił przeciw potajemnemu małżeństwu z Radziwiłłówną. Ale nawet w czasie najbardziej burzliwych obrad, izba poselska, jak to wynika z diariusza i korespondencji

posłów gdańskich — skłonna jest przyjąć Barbarę na Wawelskim Zamku pod warunkiem przeprowadzenia Unii z Litwą jako podstawowego zadania państwa jagiellońskiego.

Wobec nieprzejednanego stanowiska króla — Sejm zostaje zerwany, oba obozy szukają się do walki. Atmosfera polityczna w kraju dochodzi do stanu wrzenia. Pod wpływem Radziwiłłów — Zygmun August podpisuje w lipcu 1549 r. tajny sojusz z Habsburgami. Jednym z głównych punktów sojuszu jest obietnica pomocy zbrojnej ze strony Habsburgów przeciw szlachcie za cenę rezygnacji Polski z wpływów na Węgrzech... Wkrótce po tym, za zgodą Senatu, a bez wiedzy Sejmu, Barbara została królową Polski. Walka o poprawę Rzeczypospolitej przybiera z każdym rokiem na sile, dopiero po pozyskaniu króla — kończy się szkodliwym kompromisem.

Tak więc już pierwsze miesiące panowania Zygmunta przyniosły bolesne rozczarowanie patriotycznym i reformatorskim żywiołom szlacheckim. Ostatni z Jagiellonów nie miał danych na to, by być królem „demokracji szlacheckiej” i nigdy nim naprawdę nie chciał być. Przekładał arkana włoskiej dyplomacji nad parlamentaryzm stanowcy, obce mu były formy rządów Rzeczypospolitej.

Skąd tyle sprzecznych opinii na temat tego władcy w naszej nauce, publicystyce i literaturze, skąd tyle dyskusji, trwających bez mała 200 lat, bez końcowych wyników, bez „kropki nad i”, bez ostrożnej próby syntezy, skąd tyle i tak różnych prób obrony jego „reputacji” jakich, poza jednym może Stanisławem Augustem nie doczekał się żaden polski król?

Sądze, że odpowiedzi na to pytanie należy z jednej strony szukać w przełomowości jego czasów i niezwykle skomplikowanej ocenie takich procesów jak Reformacja, z drugiej zaś strony — w wiecznym żywym sporze ideologicznym, jaki angażuje po różnych stronach barykad historyków, polityków, działaczy i moralistów.

Historiografia katolicka ma żal do Zygmunta za sympatie protestanckie, wyraża mu jednak nieskończoną wdzięczność za uratowanie kościoła katolickiego od schizmy, błogosławiąc króla za to, że „nie poszedł śladami Henryka VIII” (Szuski). Historycy protestancy, lub sprzyjający Reformacji — odwrotnie — złorzeczą mu, że nie stworzył kościoła naro-

dowego, lecz okazują życzliwość za obronę interesu protestantów przed „papieżnikami” (Bodniak). Szkoła „narodowa” — widziała w Augustynie prekursora polityki bałtyckiej i przypisywała mu poważne zasługi w nowoczesnej organizacji wojska i floty (Konopczyński, Sobieski). Wielu liberalno-demokratycznych historyków widziało w Zygmuncie Augustynie rzeczniczką silnej władzy monarszej, podnosiło jego zdecydowanie i stanowczość w walce z anarchią szlachecką (Kot.). Sympatycy szlachty egzekucyjnej wybaczały królowi zbyt łatwo jego 15 lat trwający wrogi stosunek do programu reform, by gloryfikowali z kolei końcowy okres rządów, kiedy Zygmun częściowo wprowadził niektóre postulaty szlacheckie (Kolankowski). Wszyscy zaś jednomyślnie podkreślali jego wiekopomne zasługi w dążeniu do zawarcia Unii z Litwą i Prusami (jakkż nieporozumienie!), jego zalety dyplomatyczne (dość słusznie), i pasowali na wielkiego męża stanu.

W każdej z tych ocen aktywa przeważała i nadal przeważała nad pasywną — każda ze stron stara się „rozgrzeszyć” Augusta za różne błędy, za chwzięność charakteru, „bo przecież” Unia, bo wojsko, bo flota, bo mocarstwo, bo Złoty Wiek kultury...

Niektórym historykom wystarczało kilka pięknych frazesów w rodzaju „jam nie panem praw tego królestwa — jego sługą” — kilka gestów, jak wdzianie szlacheckiego kubranka na sejmie 1562 r. w miejsce kosztownego kaftana hiszpańskiego, aby okrzyknąć Augusta królem „demokracji” szlacheckiej, przywódcą reformy itd.

We wszystkich tych opiniach, (których jeden Bobrzyński nie podzielał), uderza jakaś skrajnie fałszywa hierarchia ocen: pewne zasługi Augusta w zakresie polityki zagranicznej i wewnętrznej (często nb. niesłusznie jemu przypisywane) przesłoniły historykom różnych obozów i szkół konsekwentnie wrogię stanowisko króla wobec wszelkich reform antymagnackich, wobec wszelkich dążeń społecznych jego czasów, wobec najlepszych zamierzeń egzekucjonistów, wobec „wołań na puszczy” Reja, Frycza, Kochanowskiego, Arjan.

POMIMO bardzo złożonych i poza-osobistych motywów działalności politycznej Zygmunta Augusta — nie da się zaprzeczyć, że Barbara odegrała fatalną rolę w jego życiu. Jako kobieta, nie cie-

Jeślibyś chciał pokochać gwiazdę, to wybierz taką, która jest najbliższa — tak bliska, że stopa dotykasz jej ciepłego serca.

Ma czarne imię: Ziemia.

Jest piękna — z jej rąk staczają się wieczne oceany — spowinięta, jak przejrzystym płaszczem w oddech niezliczonych istnień, które dźwiga na sobie, krąży brzęcząc po gwiazdnych polanach — pszczoła kosmiczna.

Zna słodycz macierzyństwa. Kretom pozwala dźwżyć głęboko w swym żywym ciele, w szczelinach skał ochrania gniazda żmij i czuwa nad powolnym wzrostem ciepła, aby kamienie mogły rozkwiatać kryształami.

Przeżyła ją noc. Dotknięta ciemnością wspina się pianami wód do swojego księżycy i bieży i płynie i umyka rąco, aby uderzyć znowu o krawędź światła.

Wtedy zachwycając się ziemią. Jak wzruszającą jest młoda, płonąca zorzą ros, obłana rumieńcem świtu.

Wtedy jest modlitwą.

Śpiewa chwałę Dionii, które na początku dziejów uniosły ją lekko niby gołębicę, aby sfrunęła i potoczyła się drogą, którą jej wyznaczono przedwiecznym aktem twórczym.

Mikołaj Bieszczadowski

5. świt



ZAMYKAJĄC pierwszą część szkicu traktującego o „Opowiadaniach” Iwaszkiewicza rozważaniami na temat nowego debiutu autora „Czerwonych tarcz”, posłużyłem się określeniem, które musi być brane cum grano salis. Po raz drugi bowiem nie debiutuje się już zupełnie na nowo. Zazwyczaj chodzi w takich wypadkach o zmianę przedmiotu zainteresowań: pewne sprawy przesuwają się z obwodu pola świadomości artystycznej ku jego centrum, awansują i nabierają ważności, kwestie dawniej drobne — ogromnieją, rysujące się niegdyś mgliście i niejasno — nabierają wyrazistości. Zmiany kształtu wypowiedzi artystycznej są nieuniknioną konsekwencją takich przeobrażeń i przewartościowań w zakresie problematyki.

W przedwojennej i wojennej twórczości Iwaszkiewicza jako takie właśnie zagadnienie drugorzędne występowało zagadnienie przeciwności typu psychicznego intelektualisty, człowieka kultury — typowy psychicznemu człowiekowi prostego, człowieka z ludu, identyfikowanego czasem wręcz z człowiekiem natury, którego postępowaniem kierują proste impulsy biologiczne. Zjawia się on jako reprezentant pewnego stylu życia, pewnej postawy wobec świata. Postawę tę określić by można mianem pełnej zgodności z imperatywem kategorycznym biologicznego trwania i rozwoju. Najpełniej reprezentują ją Malina z „Brzeziny”. Ta dziewczyna jest amoralna amoralnością przyrody, żywiołu, jest wierna każdorazowo nakazowi impulsów swego ciała i nie poddaje ich ocenom żadnych prawideł rozumowych czy moralnych. Afirmuje ona życie samym faktem swego istnienia, poddana bez reszty dyktatowi instynktu. Jest uczuloną cząstką przyrody, życiem, które przeżywa siebie poza dobrem i złem, poza kłamstwem i prawdą.

W Malinie stworzył Iwaszkiewicz typ, typ człowieka czysto biologicznego. Lirycznym projektem tego typu była już Hania z „Godów jesiennych”, ale dopiero w bohaterce „Brzeziny” został on zrealizowany w sposób artystycznie pełny, bez symbolizmu i przekraczania granic psychologicznego prawdopodobieństwa. Ale czystość typu została osiągnięta przez wyodrębnienie go ze sfery rzeczywistości społeczno - historycznej, przez nadanie mu charakteru absolutnej ważności. Malina — czyli uczulony żywioł. Ta formuła pomija życiową genezę typu, pokazuje go jak jedną z przyrodzonych, ponadczasowo ważnych form ludzkiej osobowości.

Ow człowiek biologiczny potrzebny jest autorowi jako antyteza człowieka kultury, uwikłanego w nierozwiązalną problematykę, nie umiejącego ani pogodzić się z rzeczywistością, ani nad nią zapanować. Ale w wypadku Maliny chodzi nie tylko o przeciwstawienie. Postać ta nie jest bez znaczenia również dla grającej doniosłą rolę w poetyckiej metafizyce Iwaszkiewicza ideał prostoty rozumianej jako stan wewnętrznej harmonii, prowadzący do pogodzenia się ze światem, do przezwyciężenia antytezy życia i śmierci, cierpienia i szczęścia, radości i smutku. Prosta owa to wyrównanie się sprzeczności, to stan idealnej stasis, w której elementy przeciwstawne równoważą się i przez to wzajemnie znoszą; wykluczona zostaje tym samym potrzeba działania, gdyż wykluczony jest stan wewnętrznej harmonii, napięcia, oczekiwania i pożądań. Taką właśnie prostotę posiada ojciec Wasyl z „Godów jesiennych”, Alinka z „Zmowy mężczyzn”, Henryk Sandemirski z „Czerwonych tarcz” u schyłku życia, gdy wypalił się do

STEFAN LICHANŃSKI

KU NASZYM CZASOM

ona pędzące go do czynu pragnienia i pożądania.

Z punktu widzenia takiego właśnie inteligentnego neobuddyzmu (Bo sens nie w szarpaniu, ani jest w radości, ale w cierpliwości i wielkim czekaniu) zestawiony zostaje człowiek kultury z człowiekiem natury. Pierwszy z nich jest w położeniu daleko gorszym, nieporównanie trudniej osiągnąć mu stan wewnętrznej równowagi dający poczucie zgody ze światem. Świętego można poznać po spokoju, twierdzą bohaterowie „Młyna nad Utratą”, ale jeden z nich zauważa, że świętość to jest wyrzeczanie się lęku... największego naszego bogactwa, jakim jest strach i tęsknota. Człowiek natury nie zna tego rodzaju dylematów, nie potrzebuje się z nimi borykać, gdyż to, co człowiek kultury musi osiągnąć przez rezygnację ze swego rzekomego największego bogactwa — strachu i tęsknoty, on ma w sobie jako naturalny dar działania impulsów czysto biologicznych. Mądrość człowieka kultury, sceptyczna i wątpliwa, zabija i niweczy ów stan przyrodzonej prostoty, naturalnej harmonii wewnętrznej. Zatruty zerknięciem z tą mądrością ginie tytułowy bohater „Zygryfda”.

MIT owej „prostoty”, zrezygnowanej i zubożonej na wszystko, mit człowieka natury, szczęśliwszego, prostszego, żyjącego rozumnie i naturalnie niż człowiek kultury, ważne są jedynie jako wyrażający się okólną drogą, przez mglistą symbolikę poetyckiej metafizyki, odruch niechęci i nieufności wobec środowiska, w którym tkwił pisarz. Na szczęście realistyczny instynkt artysty wyprzedza Iwaszkiewicza poza sferę tej mitologii. I w „Brzezynie” i w „Zygryfdu” jest ona rzutowana na przedstawione w opowiadaniu fakty sugestiami poetyckiej nastrojowości i utrzymanej w minorowej tonacji lirycznych epizodów (motywu grobu Basi i watek fortepianowo - wspomnieniowy w „Brzezynie”, motyw fresku z aniołem w „Zygryfdu”), ale same fakty mogą się z powodzeniem obejść bez niej. „Brzezina” będzie wtedy jest tylko o tym, że instynkt życia jest silniejszy niż lęk przed śmiercią, a „Zygryfda”, że wiedza czysto teoretyczna na nic się nie zda tym, którzy szukają w niej klucza do rzeczywistych zagadek życia.

Sięgniemy jednak do utworów, które z pozoru zdawać się mogą „leższym kalibrem” twórczości Iwaszkiewicza. Chodzi mi o opowiadania takie jak np. „Róża” i „Stracona noc”. W pierwszym z nich godny jest uwagi stosunek narratora do tytułowej bohaterki, stosunek, w którym sąsiadują ze sobą niechęć, złośliwość, odraza — i podziw. Tak jest, podziw, bo ten ordynarny, pozbawiony jakichkolwiek delikatniejszych uczuć babstły imponuje swoją niespożyta witalnością, energią i uporem w realizowaniu swych planów. Z tą Różą wyszło Iwaszkiewiczowi jakoś tak jak Kadenowi z jego Bigdą — nie wiadomo, w którym miejscu początkowa dezaprobata autora wobec bohatera przechodzi w jakąś osobliwą sympatię — wbrew woli i dlatego cokolwiek zażenowana. W „Straconej nocy” przeciwstawienie inteligentnego gustu pryncypialnej paplaninie, energii i przedsiębiorczości proletariackiej Konstantego demonstruje ad oculos kwestie szans życiowych jednej i drugiej odmiany gatunku homo sapiens. Ta z pozoru tylko

uroczą humoreska, świetny „kawał” literacki, jest kawałkiem tegiej socjologii — i to nie tylko socjologii miłośni.

Iwaszkiewiczowy „człowiek z ludu” wyposażony jest jednak nie tylko w „krzepę”, przedsiębiorczość i zaradność. W „Starej cegielni” i „Młynie nad Lutynią” pokazana zostaje inna jego cecha — przyrodzona jakby prawdość, silny instynkt moralny, którego nie niszczy nawet deklamacja, spychająca daną jednostkę w szeregi lumpenproletariatu, jak to dzieje się właśnie z Wackiem Mielczarkiem. Pan Antoni, Wacek i Jasio ze „Starej cegielni”, Durczokowie, Grzesiek, Bolka z „Młyna nad Lutynią” reprezentują tę prawdość prostego człowieka, która daje siłę do podejmowania decyzji bohaterów, jak w wypadku Wacka, lub tragicznych — jak w wypadku Durczoka.

W „Brzezynie” „człowiek z ludu” reprezentował jedynie zwycięskie moce biologii. W „Różę” a jeszcze mocniej w „Straconej nocy” ukazuje się on jako zabórca zdobywca życia, nie jako medium, przez które działają żywioły, lecz jako świadomy organizator rzeczywistości — na skalę bardzo drobną, ale przecież wystarczającą, by stwierdzić, że potrafi on osiągnąć to, co uzna za godne pożądania. Konstanty, który nie deliberując wiele wystrzchnął na dudków dwu intelektualistów - gadułów, jest już nie uosobieniem wyfilozofowanej antytezy inteligentnego człowieka kultury, ale jego rzeczywistym rywalem.

W „Starej cegielni” i „Młynie nad Lutynią” wewnętrzna prawdość ludzi nie zastęga w kwietystycznej kontemplacji świata, w biernym przyjmowaniu wszystkiego, co nie się z sobą burzliwa rzeka zjawisk, ale przeradza się w celowe i słusne działanie. Statyczny ideał inteligentno - buddyzmowski miłowania świata wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza zostaje zastąpiony ideałem czynnej walki o sprawiedliwość. Jak Pan Bóg zaś nie wymierza sprawiedliwości, to człowiek sam ją sobie musi wymierzyć. Daleko jesteśmy od wiary w owego lirycznego Dionizosa, co to przyjdzie święty, ramięm ogarnie, wszystkie wylumaczy przebycie meczarnie. Człowiek sam ujmuje w swe ręce ster losu, chce kierować śmiercią w imię sprawiedliwości.

„Człowiek z ludu” zjawia się już u kresu twórczości „starego” Iwaszkiewicza nie tylko jako zwycięski rywal inteligenta w erotycie, ale przede wszystkim jako ten, który zdolny jest wziąć na siebie odpowiedzialność za bieg wydarzeń.

I WASZKIEWICZ przeciwstawiając „lud” inteligencji nie określa jednak ani „ludu”, ani inteligencji w kategoriach klasowych, lecz wyłącznie środowiskowych. Środowisko ziemiańskie, inteligentkie, drobnomieszczańskie, chłopięce, robotnicze... ale społeczeństwo nie jest mozaiką środowisk. Środowisko jest elementem wtórnym i pochodnym rzeczywistości społecznej, determinowanej układem stosunków międzyklasowych. „Pograniczność” klasowa Iwaszkiewicza zadecydowała o tym, że zjawiska konfliktu społecznego wystąpiły w jego twórczości nie wprost, ale w przeciwstawieniu zrozpaczonej i beznadziejnej inteligencji dobrze radzącemu sobie z rzeczywistością „ludowi”.

Iwaszkiewiczowy „człowiek z ludu” może być robotnikiem, chło-

pem, lumpenproletariuszem (jak Wacek ze „Starej cegielni”). Nie jest sam wyrazem określony klasowo i nie myśli kategoriami klasowymi. Wystarcza (tzn. wystarcza autorowi), że jest on psychicznie zdrowy, bardziej zaradny i przedsiębiorczy niż ludzie ze środowiska inteligentnego. Można zaufać jego spontanicznej, nie wyrozumowanej prawości moralnej, można być pewnym, że nie zawiedzie on w chwili próby. I chętnie pojechałby się z nim za Wierchlicę, do swojaka po słomę — jak to marzy sobie hrabia Zamoyiło w „Śniadaniu u Teodora”.

Tymczasem warunki ułożyły się w ten sposób, że wyprawa za Wierchlicę (aby nigdy już stamtąd nie wrócić) jest obecnie jak najbardziej nieaktualna. Trzeba towarzyszyć ludziom pokroju Durczoka, Wacka, Grzesiaka w budowaniu przez nich nowej rzeczywistości. I okazuje się, że nowy start pisarski w Polsce Mielczarków i Grzesiaków stwarza poważne trudności.

Część powojennych utworów Iwaszkiewicza należy ze względu na sposób stawiania i rozwiązywania problematyki, na kształt wypowiedzi artystycznej do okresu poprzedniego. Przedtem już przesygnęliśmy do niego „Młyn nad Lutynią”, ale to opowiadanie pochodzi z roku 1945, a więc sprawa wydaje się całkiem prosta: utwór z okresu przejściowego. To samo jednak wypadłoby zrobić z napisanym w 1950 r. „Młynie nad Kamionką”. Nowe i aktualne jest w tym opowiadaniu samo zagadnienie (sytuacja psychiczna człowieka, który podczas okupacji dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa zadunucjował ukrywających się Żydów, a teraz stoi wobec groźby wykrycia jego haniebnej tajemnicy), rozwiązanie natomiast owego zagadnienia przeprowadzone zostało według tradycyjnych wzorów powieści psychologicznej, zajmującej się problemem winy i kary, a to nie najlepiej, gdyż samobójstwo Stefy sprawę tylko przecina, ale jej nie rozwiązuje. Jest ono ucieczką, nie ekspiacją.

Ta jednak okoliczność, że „stary” Iwaszkiewicz odbiera czasem głos „nowemu”, nie jest sprawą najważniejszą. Nas obchodzi przede wszystkim ten „nowy” i dlatego zajmmy się bliżej czterema spośród napisanych już po wojnie opowiadań autora „Zmowy mężczyzn”, „Cmentarz w Toporowie”, „Kwartet Mendelssohna” i „Ucieczka Felka Okonia”.

Uderza w tych utworach nawrót do tradycji naszej wielkiej prozy z okresu poprzedzającego wybuch pierwszej wojny światowej. „Świa-

ła małego miasta” przywodzi na myśl swoją tonacją uczuciową Żeromskiego, „Cmentarz w Toporowie” i „Kwartet Mendelssohna” — przypominają Orzeszkową, „Ucieczka Felka Okonia” — Sienkiewicza. Nie chodzi mi tu bynajmniej o jakieś rozważania „wplywologiczne”, ale o określenie charakteru i kierunku ostatnich prozatorskich poszukiwań Iwaszkiewicza. Poszukiwania te są ambitnym i trudnym eksperymentem literackim polegającym na próbie wyjścia poza dawny krąg nie tylko problematyki, ale — co w tym wypadku jest daleko ważniejsze — nawyków warsztatowych, metod organizowania dzieła. Bardzo słuszny i trafny wydaje się w tym wypadku zwrot do tradycji klasycznej prozy polskiej. Wyraża się w nim poszukiwanie nie tylko form wypowiedzi jak najbardziej komunikatywnej, ale również amblicja wypracowania sobie — na wzór starych mistrzów — pozycji pisarza czerpiącego materiał twórczości z realnych zagadnień życia i współczesnej Polski, ambicja zrealizowania w jak najszerszym zakresie programu „układania słów dla Polaków”.

Najwięcej rozgłosu z tych eksperymentalnych opowiadań zdobyła sobie „Ucieczka Felka Okonia”. Nie dziwnego. Porywa ona istic sienkiewiczowskim rozmachem pióra, żywiołacją akcji, potocznością narracji. Na mój gust jednak jest to utwór zbyt sienkiewiczowski również w stawianiu i rozwiązywaniu zagadnień. Felek Okoń grzeszył, jak niegdyś pan Kmicic, przez nadmiar temperamentu i brak opamiętania. Tamten zbyt krewko machał szabłą, ten — nożem, a obaj jednak nie w porę. Ale tak jak pan Andrzej, nie zeszedł na psychikę Felek. We właściwym momencie odezwano się „złote serce”, przemówiła „rogata polska dusza”, proletariacki Kmicic rznął koszykiem w łeb oficera z londyńskiej „dwójki” i wrócił do kraju, żeby odpokutować za swoje błędy. Jest w tym opowiadaniu niefrasobliwa beztroška obywatela się bez głębszych uzasadnień i machnięciem ręki zbywająca wszelkie wątpliwości i kłopoty, jest przekomponowywanie na „robotniczy” (nie robotniczy!) ton starych tradycji bałaskich i ułańskich, jest polskie, arcy polskie „jakoś to będzie”, boć przecie „wszystko dobre, co się dobrze kończy”. Felek swoje odsiedził, ale potem wrócił pod opiekunice skrzydła Zleńskiego, Franek po otrzymanej nauce zmądrzeje. Może nawet i Julcia się poprawi? Przecież ostatecznie jest ona raczej głupia niż zła.

Optymizm tego opowiadania jest zbyt łatwy i polega raczej na niedostrzeganiu komplikacji niż na ich

przewidywaniu wązka i rzeczowicie przekonywającą argumentacją przedstawionych w utworze faktów. „Ucieczka” wydaje mi się ważna z jednego tylko powodu: jako dowód, że stare schematy romansu przygodowego czy nawet kryminalno - sensacyjnego mogą być zrehabilitowane i użyte z powodzeniem również w utworach sensownie i zdrowo dydaktycznych.

Wyższej kategorii eksperymentalni są trzy pozostałe z tych opowiadań. Nawet nieudane „Światła małego miasta”, których stylizacja na naiwność daje efekt raczej aktorskiego zgrzywania się niż nieporadnej prostoty, są utworem ważnym, gdyż Iwaszkiewicz próbuje wyeliminować z niego liryzm i subiektywizm widzenia, zastąpić je przedmiotowym opisem faktów widzialnych nie z perspektywy literaturskiej, ale rzeczywistego mieszkańca owego małego miasteczka nad Wartą. Co prawda, ów narrator dobrany został dość niefortunnie, gdyż widzi w swoim miasteczku zbyt mało i widzi źle, lecz nie w tym tkwi sedno zagadnienia, Iwaszkiewicz spróbował przetopić na szlachetny kruszc wysokogatunkowej sztuki rudę reportażu — i to jest ważne i cenne, choć eksperyment nie zupełnie się udał.

Pewien element pretensjonalności można by wytopić zarówno w „Kwartecie Mendelssohna” jak i (w wyższym jeszcze procencie) w „Cmentarzu w Toporowie”. Te jednak utwory ważne są od innej strony. W obu zjawia się znów człowiek prosty, człowiek z ludu. I teraz Iwaszkiewicz stara się znaleźć taki punkt widzenia, z którego ta prostota zachowując swój wymiar naturalny, nie podniesiona na szczytach patosu, nie zlegendaryzowana i nie zmitologizowana, wypowiedziałaby się jak najpełniej i jak najswobodniej. Ważne są te utwory również i dlatego, że Iwaszkiewicz stara się znaleźć w nich formułę samookreślenia dla pisarza-inteligenta, zaangażowanego czynnie w budownictwo współczesności, traktującego siebie jako współtwórcę żywej, rosnącej kultury a nie strażnika i kapłana „świętego ołtarza” gotowych i spetryfikowanych już raz na zawsze „wartości kulturalnych”.

Czy po drugim debiucie nastąpił druga dojrzałość talentu Iwaszkiewicza? Żywioły chęci jeszcze są w wojnie. Dawny poetycki „człowiek z ludu” nie stał się jeszcze w pełni konkretnym, umiejscowionym historycznie i społecznie człowiekiem naszej współczesności. W „Kwartecie Mendelssohna” zarysował się już jego profil, ale mimo wszystko i ten utwór to dopiero zapowiedź. W każdym razie pewne jest, że Iwaszkiewicz nie pozostał wśród pogrobowców minionej epoki grzebiących umarłe swoje. Podjął trud wyrażania naszych czasów. Równie jak Staff nie zaważał się, gdy przed wysokimi stanął schodami.

Stefan LichanŃski

* Patrz artykuł pt. „Na pograniczu epok” w poprzednim nrze „Dziś i Jutro”.

MARIAN RADAWIAK

PRECEDENSY

Spoufaleri — rzecz można — z dorobkiem naszych osiągnięć w dziedzinie budownictwa przemysłowego, przyzwyczajeni do nagłego i szybkiego powstawania potężnych kombinatów — przechodzimy często do porządku dziennego nad pytaniem, skąd biorą się kadry fachowców w kraju, pozbawionych poważniejszych tradycji technicznych. Przypadkowo obudzona ciekawość zadawała się zbyt często zdawkową odpowiedzią, że tyle przecież otwarto w czasie dziesięciolecia uczelni wszechstronnego zakresu.

Niewątpliwie. Jednakże zasadnicza świadomość troski o wszechstronny rozwój budownictwa — nie powinna odwracać naszej uwagi, ani naszego podziwu — od żmudności przebytej drogi, od bogactwa opracowywanych dyscyplin i metod. Kiedy na przykład oglądamy przedstawienie w doskonale urządzonej sali kinowej, czy kinowym — czy zastanawiamy się czasem, skąd wziął się ten budynek wraz z otoczkami podobnych budynków w kraju, zważywszy, że przed wojną nie mieliśmy prawie żadnych specjalistów od budownictwa teatralnego, nie mówiąc

już o kinach, które przeważnie mieściły się (żeby nie powiedzieć gnieździły) w straszliwych rudach, dla których wyświetlanie filmu powinno było być ostatnim z możliwych przeznaczeń? Czy zdajemy sobie sprawę, że przed wojną nie dysponowaliśmy skromnymi nawet kadrami architektów-specjalistów od teatru, że nie było odpowiednich katedr na politechnikach, że nie istniała żadna albo prawie żadna literatura w tym zakresie?

Miastoprojekt Stolica „Specjalistyczne” — opracowuje w chwili obecnej trzy projekty teatrów. Teatr Zespołu Domu Wojska Polskiego według projektu prof. Romualda Gutta i inż. Haliny Skibińskiej — powstanie na Skarpie i będzie wyposażony nie tylko w scenę obrotową, ale również w kompletne urządzenie sceniczne na jednym poziomie, co da scenografii ogromną swobodę i pozabawi ją kłopotu przy zmianach dekoracji repertuarowych.

Maleńki teatrzyk w Pomarańczarni na około 180 miejsc jest jednym z nielicznych (dokładnie: czterech) teatrów europejskiego typu teatru dworskiego. Pracownia inż. Stanisława Górskiego musiała również rozwiązać trudny problem, jak pogodzić kompletnie przedstawienie techniczne z ko-

niecznościami nowoczesnej architektury scenicznej i co ważniejsze — nie zepsuć tej zabytkowej budowli. W rezultacie — zdecydowano się na zachowanie starych urządzeń tylko w sensie pokazowym. Stary strop dachowy i zwięzła sceniczne będą stanowić granicę, powyżej której pozostaną stare urządzenia, poniżej zaś której — powstaną nowe. Wszystkie przeciwwagi umieszczone zostaną w podsceniu, przez samą scenę przechodzącą będzie tylko kilkanaście lin stalowych, ażeby w historycznej budowie nie rażił nadmiar „żelastwa”.

Pracownia inż. Górskiego projektuje również budowę sceny przyszłego teatru „Guliwera”, który będzie pierwszym polskim teatrem lalek zbudowanym ad hoc: ten precedens polskiej architektury teatralnej będzie więc faktem wielkiej doniosłości, tym bardziej, że będzie to teatr ogromny, ze swymi 500 miejscami, co odpowiada teatrowi dramatycznemu na 1500 miejsc.

Pracownie i specjaliści naszego budownictwa teatralnego nie tylko muszą rozstrzygnąć ogromne trudności praktyczne, nie tylko muszą być autorami precedensów — ale stoją jeszcze przed poważnymi problemami natury teoretycznej. Jak się rzekło — brak dotychczas w Polsce odpowiedniej literatury, wy-



Po skończonych lekcjach — przyjemnie zacerpnąć powietrza w Parku Kultury

szkolonych specjalistów, niekiedy nawet — odpowiedniego mianownictwa naukowego. Tak na przykład inż. Kirszenstein opracowuje obecnie metody pomiarów akustyki na widowni teatralnej, problem niesłychanie doniosły dla całej tej dziedziny budownictwa.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad zagadnieniem architektury teatrów jedynie tytułem przykładu, albowiem podobnie pionierskich osiągnięć posiadamy dziś w Polsce bardzo wiele.

Kino na Muranowie, które w najbliższych miesiącach oddane zostanie do użytku publiczności i którego projektantem są inżynierowie Kleyff i Borkowski — będzie pierwszym u nas kinem dwusobowym, wyświetlającym programy co dwie godziny, jak wszystkie nasze kina, lecz — co godziwe. Zasada pomysłu jest prosta i polega na tym, że istnieją dwie bliźniacze widownie, z których jedna ogląda pierwszą część filmu, podczas gdy druga widownia ogląda część drugą. Kino będzie wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia techniczne, z których najważniejszym

jest klimatyzacja widowni (rozprawadzenie ogrzanego i nawilgoconego powietrza).

Jest rzeczą jasną, że modernizacja urządzeń technicznych nie wyczerpuje zagadnienia modernizacji miasta jako całości. Albowiem modernizacja miasta polega przede wszystkim na unowocześnieniu i upostępowaniu s t y l u z y c i a. Zagadnienie to rozpatrzmy na przykładzie architektury zieleni. Wiemy, że dotychczas istniały dwa zasadnicze typy parków: francuski, tzw. „strzyżony”, wyraźniej modyfikujący naturę, i angielski, prowadzony raczej „na dziko”. Wielkie zespoły parków miejskich, powstające obecnie u nas i których prototypami będą parki w Stalino i na Powiśiu warszawskim — nie naśladowują żadnego z tamtych wzorów, tworząc własny, odmienny typ „parku kultury”. Różnica nie leży tylko w nazwie, ale w samym założeniu, polegającym na dostarczeniu c o d z i e n n e j rozrywki c a l e m u społeczeństwu. Nowy typ parku jest więc uwarunkowany przez nowego użytkownika. Wynika z tego szereg dalszych postula-

tów, jak: komunikacyjność parku z dzielnicami mieszkaniowymi (w przeciwieństwie do typów dawnych, których rola polegała właśnie na stworzeniu warunków izolacji), wyposażenie parku w dzieła sztuki, w elementy architektury i rzeźby, w jeziora i fontanny, przede wszystkim zaś — stworzenie możliwie wszechstronnego zestawu urządzeń kulturalno - rozrywkowych.

I tu również zdobywamy sobie fachowców w dziedzinie architektury zieleni. Szkoli ich katedra architektury krajobrazu i parkoznawstwa przy SGGW. Powstają nowe problemy naukowe i artystyczne: nowy typ rzeźby parkowej, problem kształtowania kolorystyki krajobrazu, problem barwnych brzoń zanożymy ciekawe doświadczenia przy budowie stadionu na Wierzbnie. A za tymi problemami — wyłaniają się dalsze, rodzą się nowe możliwości dla młodzieży przy wyborze zawodu, powstają nowe specjalności i dyscypliny naukowe. Człowiek kształtuje swoje miasto, ale miasto kształtuje człowieka.

Marian Radawiak

DRAMAT ŚWIĘTOŚCI

POWIEŚĆ O BRAKU NADZIEI

MÓWI się często, że artysta odkrywa świat na nowo, że mocuje się z nim, by wydrzeć jakąś cząstkę prawdy zdobytą własnym wysiłkiem, że w dziele liczy się przede wszystkim to, co autor sam zobaczył, sam odczuł, sam zrozumiał. W owym ciągłym zdobywaniu rzeczywistości i przelamywaniu jej w sobie kryje się prawo sztuki — nie jedynie, ale jedno z najważniejszych — którego artyście przekroczyć nie wolno i którego prawdziwy artysta nigdy nie złamie. Jest to prawo sztuki zwycięskiej.

Dobraczyński nazwał siebie kiedyś pisarzem truizmów. Prawd katolikiem właściwie znanych od dawna, od dawna mających dla nich zasadniczą wagę. Nie wstydy się i nie unika tego. Przeciwnie: w takim określeniu upatruje sens swego pisarskiego powołania, w upowszechnieniu i pogłębianiu tych prawd — najważniejsze zadanie katolickiego pisarza. Zdawać by się mogło, że już w samym założeniu tkwi niebezpieczeństwo nieuchronnej kolizji między intencjami autora „Kłucza mądrości” a wymogami sztuki, jakiegoś ziarno rezygnacji z ich przestrzegania. Tak jednak nie jest. Dobraczyński chce zdobyć świat dla prawd, w które wierzy, odkryć w nim ich działanie, odnaleźć w człowieku ich trwałe ślady. Pisze gdzieś Maritain, że artysta jako człowiek powinien pracować dla rzeczy bardziej ukochanej niż własne dzieło. Autor „Listów Nikodema” pozostaje wierny tej zasadzie, decydującej o ideowości sztuki: swym dziełem chce służyć sprawom dla katolików najważniejszym. I robi to w każdej swojej książce, robi tym skuteczniej, im silniej potrafi zespolić pasję apostoła z trudem zdobywanych poszukiwań.

Największą groźbą dla naszej religii widzi pisarz w tym, że jej prawdy, choć znane od wieków, nader często odlegają się życiu wielu ludzi uważających się i uważanych za katolików, że stają się kwestią zewnętrzną, przyzwyczajeniem, obrzędem, czymś, co wyznaje się od święta, co potwierdza się jedynie obecnością na niedzielnej mszy świętej czy sporadycznym aktem miłosierdzia. Dziś, kiedy katolicy stanęli przed wielkimi przeobrażeniami, jakim podlega świat, wszelkie przejawy martwo i wyjąłowania religijnego i moralnego, skostnienia różnorakich przekonań i przyzwyczajzeń — uwybrały się szczególnie ostro i problem katolicyzmu, którym się żyje na codzień, który stanowi zaczątek ludzkich decyzji i postępów i przenika różne sfery działalności człowieka jest dla ludzi wiaryzących naszych czasów problemem, może najbardziej aktualnym i najbardziej doniosłym. Dlatego trzeba doń sięgnąć i trzeba o nim mówić. Dobraczyński robi to zawsze. Także i w swej ostatniej książce).

Wbrew temu, co o „Kościele w Chochołowie” pisano, wydaje mi się, że nie jest to powieść biograficzna, *wie romancée*, ani tym bardziej epos tatrzański. Wprawdzie postać proboszcza z Sidziny nie jest zmyślona i ma swój autentyczny odpowiednik, wprawdzie autor oparł się na dane, jakich dostarcza materiał biograficzny, ale nie tu leży istota powieści, nie w tym tkwi sedno zamierzeń pisarza. Nie tragiczne w swym przebiegu i finale życie wiejskiego kapłana, który zmarł przed blisko stu laty, poślubił Dobraczyńskiego, lecz problem, jaki w tym życiu, w wybranym jego fragmencie, dostrzegł, a może raczej: jakie życie to pomogło mu pokazać, ukonkretnić. Bo człowiek na drodze ku świętości, na drodze współdziałania z miłością, pokonywania przeciwności, na jakie trafia w sobie i w swym otoczeniu, nie pojawia się w powieściach. Dobraczyńskiego po raz pierwszy, lecz fascynująco go zawsze, choć różne przybiera imiona i w różnych żyje epokach.

Dobraczyński niezmiennie ogląda życie ludzkie w jego ostatecznym wymiarze, w ciągłym konflikcie grzechu i łaski, w zbliżaniu się lub w oddalaniu od Boga. Każdy uczynek ludzki widzi *sub specie aeternitatis*. Jako zasług lub przewinę wobec Boga. Wobec życia przyszłego: własnego i innych. Myślę więc, że element biograficzny w „Kościele w Chochołowie” pełni w stosunku do idei powieści, idei całego pisarstwa Dobraczyńskiego, rolę pomocniczą i że wskutek tego wybijają go na plan pierwszy nie należy, jak również nie należy go lekceważyć, skoro fabuła powieści wiele z nich czerpie. Ponieważ ekcja „Kościoła w Chochołowie” rozgrywa się na Podhalu, więc mowę swych postaci nasyca autor regionalnym dialektem, więc znajduje się tu i krajozobraz i trafnie podchwyczone sylwetki i rysy obyczajowe. Dbałość o prawdę centralnego problemu dyktuje dbałość o prawdę realną, rzeczy ten problem ukonkretniających. Zawiodłoby się jednak ten, kto by szukał w powieści wlezy do epoki, o wsi podhalańskiej w drugiej połowie minionego wieku. Znajdzie ją o tyle, o ile potrzebna była pisarzowi dla uwypuklenia tego, co chciał przedstawić księdza Wojciecha powieści. I przynam s.e. że odczuwam jako skazę powieści Dobraczyńskiego fakt, iż przeżycia jej bohatera są w stopniu zbyt dużym zaautonomizowane, wyizolowane od doczesnych spraw swych czasów. Ale do tej kwestii powrócę

jeszcze, w każdym razie sądzę, że „Kościół w Chochołowie” eposem tatrzańskim nie jest. I tu gadającą ważność warstw przedstawieniowych powieści każde uznać „realia” rzeczowe i osobowe, które mają oddać klimat historyczno-lokalny, za pełniące funkcję potrzebną, lecz nie naczelną.

Wielką szansę świętości ma każdy katolik. I choć drogą do świętości może być tak wiele, jak wielu jest wyznawców religii Chrystusowej — jest właściwie droga jedna tylko: zaufać Bogu we wszystkim, poddać Mu całego siebie. Proboszcz z Sidziny zawiązywał Bogu; stale zadaje sobie pytanie, czy postępuje zgodnie z Jego wolą, czy dobrze Mu służy. Tropi w sobie wszystko, co mogłoby być Bogu przeciwnie, wyrzeknie się swych pragnień — dokończenia budowy kościoła w rodzinnej wsi — skoro zjawia się w nim myśl, że może Bóg nie chce, by właśnie on w Chochołowie budował, skoro w pragnieniach tych dopatry się nieprzewidywanej pychy, własnej matości. Ksiądz Wojciech łaknie łaski i choć nieraz upadnie pod jej ciężarem, zdąży wytrwać w raz wybranym i stale wybieranym kierunku. Bo wybór każdorazowo określa człowieka i musi być ciągle dokonywany, powtarzany, bo w duszy ludzkiej ścierają się dążenia przeciwne i wymagają ciągłego rozstrzygnięcia. Dążenie do świętości jest w powieści Dobraczyńskiego stanem nieustannego niepokoju i szukania, potwierdzania dokonanych i podejmowania nowych decyzji, jest stanem ciągłego nienasyceńcia człowieka Bogiem, ciągłej walki o pełną doskonałość wewnętrzną.

Proboszcz z Sidziny zbliża się do świętości, chciałoby się powiedzieć: osiąga ją. Przypadkowa, nagła śmierć zastaje go w chwili, kiedy właściwie uporządkował już wszystkie sprawy tu, na ziemi, kiedy odsunął od siebie to, co najbardziej nie dawało mu spokoju, kiedy przekazując budowę kościoła w Chochołowie tamtejszemu proboszczowi dopełnił ostatniego aktu pokory, poddania się woli Bożej. Jeden z bohaterów „Nadziei” Malraux mówi, iż *tragizm śmierci polega na tym, że od niej poczujemy nie można już niczego zacząć na nowo*. Śmierć księdza Wojciecha nie ma w sobie nic z takiego tragizmu: niczego właściwie nie przecina, lecz trafia na życie już zamknięte, dojrzałe do kresu. Wszelkie powikłania są już wcześniej rozwiązane i to wyraźnie osłabia zakończenie powieści.

Jak już powiedziałem, w „Kościele w Chochołowie” nie ma sprawy ludzkiej, za którą nie stałaby perspektywa wieczności. Doczesność i pozadoczesność, aczkolwiek ustawione kontrowersyjnie, splatają się w człowieku w jedno, płyną wspólnie, warunkują się wzajemnie. Punkt ciężkości spoczywa, oczywiście, w sferze przeżyć nadprzyrodzonych, skąd bohater czerpie pobudki działania. One każą mu nieść słowa Ewangelii między ludzi i wśród nich pełnić kapłańskie powołanie. Troska o powierzzone sobie dusze, o ich wierność Bogu, skłania księdza Wojciecha do zainteresowania się życiem doczesnym swych parafian, widzianym w kategoriach etyki chrześcijańskiej, skierowuje jego usiłowania ku przemianom, ku moralnemu odrodzeniu, wznieceniu wiary żywej, potwierdzanej na każdym kroku, w każdej sytuacji. Proboszcz z Sidziny jest budowniczym nie tylko kościoła-swiątyni chochołowskiej, ale i Kościoła-społeczności nadprzyrodzonej, wspólnoty w Chrystusie — umacnianego w duszach wiernych. W całej powieści zajmuje się właściwie dwiema sprawami: wznoszeniem kościoła lub spowiadaniem, one pochłaniają go zupełnie, przy czym jedna z nich jest najgłębszym pragnieniem, druga — pełnym realizacją, choć uciążliwym obowiązkiem. W księdzu Wojciechu raz po raz budzi się bunt, chęć ucieczki z konfesjonalu, ale zawsze ją przelamie, przekonany, że tu jest jego miejsce, że Chrystus czeka na grzeszników, że Kościół musi być stale otwarty, by ludzkiem umożliwić pojednanie z Bogiem.

Alle świętość bohatera powieści Dobraczyńskiego przeraża swym wprost nadludzkim trudem. Spotyka się z niechęcią i niezrozumieniem przełożonych i konfratrów, siecią intryg i zawiści, jest zdany na własne tylko siły, na trud nie tylko psychiczny, lecz i fizyczny. Jest tu chyba jeszcze splany dług reliktoł bernanowskiej konwencji, widoczny również i w stosunku do doczesności, ukazanej przede wszystkim w płaszczyźnie grzechu, przed którym skuteczną obroną może być wyłącznie się, ograniczenie udziału w sprawach ziemskich. Nie przypisuję tego stonowskiego autorowi, ale w naukach księdza Wojciecha zawiera się cień podobnej sugestii, przewija się po prostu słuszne wypowiedzi, że katolizm musi dokonać w człowieku wielkiej przemiany w imię miłości Boga i bliźniego.

„Kościół w Chochołowie” cechuje

na ogół duża sprawność roboty piarskiej. Jest w nim wiele udanych scen i postaci, szczególnie wtedy, gdy pisarz nie idzie cudzym śladem, lecz szuka drogi własnej, gdy pisarz — apostoł nie postawia w tyle pisarza — artysty. Szkoda, że pisarz bardziej nie zaufał pokazaniu problemu poprzez dzieje ukazanych ludzi, poprzez ciąg powieściowych zdarzeń, nadając dużą samodzielność przeżyciom wewnętrznym bohatera wyłożonym zbyt nieraz dyskursywnie.

„Kościół w Chochołowie” mimo zarzutów, jakie można mu postawić, to książka dobra i ciekawa, ale — trzeba to sobie na trzewno powiedzieć — nie arcydzieło w skali światowej. Nie dorównuje „Listom Nikodema” czy „Kluczowi mądrości” — najlepszym (jak dotąd) utworom pisarza. Nie pomniejszy to chyba ani istotnej wartości pisarstwa Dobraczyńskiego, ani szacunku i zaufania, jakim go darzymy, ani wreszcie powodzenia, jakim cieszą się jego książki — jeśli nie przyłożymy do „Kościół w Chochołowie” miary najwyższej i nie zobaczymy w nim epokowego wydarzenia. Wydaje się to tak oczywiste, że aż wstyd o tym pisać. Ale pisać trzeba, skoro Alina Świdarska, autorka wspomnianego już omówienia, z poważną miną przemierza nową powieść Dobraczyńskiego, a raczej — bądamy ściślij —

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

PRZEZ STRUMIENI ZDARZEŃ

WIERZSZE Karczewskiej, które nie chodzą po wyżynach, nie denerwują też nieudolnością, ukazują się bezgłośnie; może nie zawsze trafiają na biurko krytyka, nie mają rzeszy czytelników, lecz jeśli do nich dotrą, spotykają się z przyjęciem, darzone są tą życzliwością, jaka jest największą nagrodą dla każdego chyba autora. Zapomniany „Notatnik liryczny” (1949 r.), „Ziarno kielkujące” (1952 r.) wreszcie największe obiektywo „Wiersze i poematy” (1954 r.) — oto plon twórczości Karczewskiej. Pierwszy tomik zawiera utwory z okresu dziesięciu lat, dwa zaś następne, które pojawiły się ostatnio w krótkich odstępach czasu, zbierają twórczość lat chyba pięciu. Czy zwiększa się tempo tworzenia, czy selekcja jest mniejsza? Trudno odgadnąć. Drugi wniosek, który nasuwa się, gdy spoglądamy na owe trzy cieniłe księżki o jednakowym, dużym formacie, jest bardzo trafny: wiersze z tych powtarza się wiele motywów, zmienia się ich „wydźwięk”: interpretacja rzeczywistości.

Zaczął się może od bardzo smutnego i bezwyjściowego „Prowotu”, „Dwóch sióstr”, nieco cierpiętniczych erotyków. Taka bolesna zabawa, oddalanie się w samotność (nie całkiem serio). W tonacji tej nie dziwią akcenty funeralne. Była to gorzka faza dojrzenia, małych konfliktów. Dojrzenia ziarno mądrości w odkrytym prawie przemijaniu, które ukształca się jako pewnego rodzaju zasada ładu: niestanna, syzyfowa cyrkulacja śmierci i życia tworzących nierozzerwalny nurt.

Nie ma kresu, ni śmierci. Mnie nie ma, ni ciebie, tylko wolno płynący cichy szepc strumienia zdarzeń, który się sączy ciągle w czasie głębie i nas — przeszłość w przyszłości — jak bieg swój odmienia.

Jako motor tego biegu krystalizuje się powoli miłość, umiłowanie życia oraz nadzieja, nadzieja uporczywa, która nie pozwala zwątpić, ulec przynęceniu w obliczu ciężkich doświadczeń straszliwej wojny. Karczewska pochyla się nad ruinami, głęboko zapada jej w duszę wojna, lecz wielka jest siła radości istnienia (powiedzilibyśmy chesteronowska, gdyby obok niej nie stał cień rezygnacji, po-

swoje wyobrażenie o tej powieści, do najwybitniejszych osiągnięć literatury czy w ogóle kultury światowej. W jej relacji „Kościół w Chochołowie” składa się z samych scen — arcydzieł, które „osiągają szczyt doskonałości epickiej”, „nie mają chyba równych w piśmiennictwie” itd.

Czy u licha, jeśli książkę cenimy, musimy pisać o niej krzepiące i podniosłe panegiryki, porównywać ją od razu z „Boską komedią”, z „Hamletem” czy „Faustem”? Bo tłumaczka poematu Dantego właśnie między nim a Witem Stwoszem wyznacza skromne miejsce na piedestale „Kościółowi w Chochołowie”, wyznając dewizę, że o znanym i uznanym pisarzu *nil nisi in superlativum*.

Powieści Dobraczyńskiego nie potrzeba przesadnej, dającej co sił w puzon — reklamy, wyolbrzymiania rzeczywistych czy przypisywania wymyślonych zalet. „Kościół w Chochołowie” wspania się mocno na posiadanych walorach, które zapewnią mu życzliwe przyjęcie przez czytelników.

Sławomir Blaut

1) Jan Dobraczyński: Kościół w Chochołowie. Wydawnictwo „Pax” 1954, str. 282.

2) Alina Świdarska: Epos tatrzański Dobraczyńskiego. „Tygodnik Powszechny” nr 34 (473).

Przecytną kłęsk głównych bohaterów — mimo iż na ogół udaje im się uniknąć bezrobocia — jest niewątpliwie groteskowa bezsensowność ich bytowania, beznadziejna jałowość ich pracy — pracy nauczycielki, która brudnemu i głodującemu chłopakowi wiejskiemu wbiaja do głowy frazesy o potężnym porcie polskim w Gdyni.

A jednak pesymizm powieści Janu Kurka nie całkowicie wynika z rozpaczliwej sytuacji społeczno-gospodarczej owego okresu nędzy na wsi, bezrobocia w mieście i faktycznej nieprzydatności licznych rzeszy ludzi z dyplomami magistrów, inżynierów i doktorów wegetujących na groteskowych posadkach lub uganiających się za nimi.

„Grypa szaleje w Naprawie” nie jest powieścią zbudowaną na zasadzie intelektualnego opanowania świata — nie daje racjonalnie skonstruowanej wizji życia. Jest przede wszystkim żywiołowo emocjonalna, nieco chaotyczna reakcją na — nie tyle pożądaną jako coś logicznego — ile odczuętą jako irracjonalne kłębówisko rzeczywistości. Powieść Kurka zagarnia, bez względu na i tak zresztą troisty (losy Andrzeja, Zygmunta i Hanki) ośrodek konstrukcyjny, najróżnorodniejsze zjawiska związane jedynie czasem lub przestrzenią kierując się tu zasadą ich siły emocjonalnej. Powieść staje się w ten sposób luźno zespolonym zbiorem „obrazków” czy „migawek” zanotowanych ze względu

Zakres tej łączności rozszerza się z pozycji narodowych ku pozycjom zespolenia się wszystkich ludzi miłujących pokój:

Na Stalinstrasse, tam w Berlinie, polskiego ludu syn w pochodzie, krew przebolewszyci ojców imię braterstwa świata, plynie w prądzie,

w różnojęzyczny urasta las i pieśń o lepszym śpiewa wieku.

Wiersze Karczewskiej tematycznie nie różnią się wiele od innych zbiorów, lecz nie ma w nich tej łapczywej dążności do nagromadzenia, do powiedzenia w jednym utworze jak najwięcej i najwyraźniej, cechuje je większa dyskrepcja („Rozmowa serdeczna”, „Na śmierć Rosenbergów”) i tym wyrasta ponad przeciętność — choć uporczywie powtarza pewne motywy: wciąż przypomina Oświęcim, to znów „nad głową stary klon cichło gwarzy”. Z pewnym poszerzeniem tematycznym, jakie daje się zauważyć, nie idzie jednak w parze nawarstwianie i narastanie tego, co się zwykle nazywa problematyką. Pod jasną i czystą powierzchnią nie zawsze toczą się ciężkie wody. Nie pogłębianie, lecz zmiana. Właśnie głównie wskutek rezygnacji z nawarstwiania intelektualnych osiągnięć swoją prostotą, do której domieszała się tkliwość z dozą liryzmu. Nie, wiersze te nie są sentymentalne. Panuje w nich nastrój. Jest w nich bezpośred-

Kto się bije o szczęście prostego człowieka, nigdy nie błądzi.

Już nie interesują jej dalsze pytania; człowiekowi, co wybrał służbę trud walki o polepszenie doli ludu (bo ludzkość przeobraża się w lud) przypisuje nieomyślność drogi, nie myśląc o jej kierunku. Skończyło się samodzielne poszukiwanie, zaczęło się relacjonowanie idei. Nadal motorem jest miłość, lecz obok niej staje nienawiść, jako jeden z środków realizowania miłości. W tomiku ostatnim nie powtórzy się akcent odosobnienia, wspólna sprawa tworzy płaszczyznę nie tylko porozumienia, ale i ściślejszej łączności kolektywnych uczuć. Pożegnał wiersz „Do przyjaciół!” zastąpił teraz wiersz „O przyjaźni”. „Ścemość... my nie jesteśmy sami”.

JEDNA czwarta część wsi niejechała nigdy w życiu koleją. Pół wsi nie pili nigdy kawy ani herbaty, a trzy czwarte nie wydalały się w promieniu dziesięciu kilometrów poza wieś. Nikt tam prawie nie zna wynalazku cukru. Raz na rok niektórzy pozwalają sobie na szczyptę sacharyny.

Wymowa społeczna wydanej po raz pierwszy w 1934 „Grypy” (*), jej wartość oskarżycielska dorównująca nieco późniejszym powieściom Wasilewskiej a ostrzejsza niż u Wiktora — nie prowokuje do dyskusji między nim a Witem Stwoszem wyznacza skromne miejsce na piedestale „Kościółowi w Chochołowie”, wyznając dewizę, że o znanym i uznanym pisarzu *nil nisi in superlativum*.

Losy ślepnącego studenta chemii Zygmunta Szczepaniaka, nauczycielki Hanki Nagórskiej, polonisty Andrzeja Głaza są niewątpliwie przykładem braku możliwości rozwoju, przykładem beznadziejnej sytuacji inteligencji w ustroju sanacyjnym. Tak jak i spowodowana nędzą epidemia grypy we „wsi naglej śmierci” — w Naprawie urasta do miary symbolu upadku ekonomiczno-społecznego chłopstwa w dwudziestolecie.

Przecytną kłęsk głównych bohaterów — mimo iż na ogół udaje im się uniknąć bezrobocia — jest niewątpliwie groteskowa bezsensowność ich bytowania, beznadziejna jałowość ich pracy — pracy nauczycielki, która brudnemu i głodującemu chłopakowi wiejskiemu wbiaja do głowy frazesy o potężnym porcie polskim w Gdyni.

A jednak pesymizm powieści Janu Kurka nie całkowicie wynika z rozpaczliwej sytuacji społeczno-gospodarczej owego okresu nędzy na wsi, bezrobocia w mieście i faktycznej nieprzydatności licznych rzeszy ludzi z dyplomami magistrów, inżynierów i doktorów wegetujących na groteskowych posadkach lub uganiających się za nimi.

„Grypa szaleje w Naprawie” nie jest powieścią zbudowaną na zasadzie intelektualnego opanowania świata — nie daje racjonalnie skonstruowanej wizji życia. Jest przede wszystkim żywiołowo emocjonalna, nieco chaotyczna reakcją na — nie tyle pożądaną jako coś logicznego — ile odczuętą jako irracjonalne kłębówisko rzeczywistości. Powieść Kurka zagarnia, bez względu na i tak zresztą troisty (losy Andrzeja, Zygmunta i Hanki) ośrodek konstrukcyjny, najróżnorodniejsze zjawiska związane jedynie czasem lub przestrzenią kierując się tu zasadą ich siły emocjonalnej. Powieść staje się w ten sposób luźno zespolonym zbiorem „obrazków” czy „migawek” zanotowanych ze względu

Zakres tej łączności rozszerza się z pozycji narodowych ku pozycjom zespolenia się wszystkich ludzi miłujących pokój:

Na Stalinstrasse, tam w Berlinie, polskiego ludu syn w pochodzie, krew przebolewszyci ojców imię braterstwa świata, plynie w prądzie,

w różnojęzyczny urasta las i pieśń o lepszym śpiewa wieku.

Wiersze Karczewskiej tematycznie nie różnią się wiele od innych zbiorów, lecz nie ma w nich tej łapczywej dążności do nagromadzenia, do powiedzenia w jednym utworze jak najwięcej i najwyraźniej, cechuje je większa dyskrepcja („Rozmowa serdeczna”, „Na śmierć Rosenbergów”) i tym wyrasta ponad przeciętność — choć uporczywie powtarza pewne motywy: wciąż przypomina Oświęcim, to znów „nad głową stary klon cichło gwarzy”. Z pewnym poszerzeniem tematycznym, jakie daje się zauważyć, nie idzie jednak w parze nawarstwianie i narastanie tego, co się zwykle nazywa problematyką. Pod jasną i czystą powierzchnią nie zawsze toczą się ciężkie wody. Nie pogłębianie, lecz zmiana. Właśnie głównie wskutek rezygnacji z nawarstwiania intelektualnych osiągnięć swoją prostotą, do której domieszała się tkliwość z dozą liryzmu. Nie, wiersze te nie są sentymentalne. Panuje w nich nastrój. Jest w nich bezpośred-

Zdźwięk Jastrzębski

na ich symptomatyczność dla obserwowanego środowiska.

Świat widziany w ten sposób to dziedzina wzajemnie zwalczających się instynktów biologicznych. Stąd płynie także dominująca rola czynników erotycznych (często — i niepotrzebnie — w najdrastyczniejszych postaci) i ich pochodnych w psychice bohaterów. Apoteoza biologicznego piękna człowieka sąsiaduje ze wstęmem dla jego nędzy — po prostu fizjologicznej nędzy.

Taka z gruntu fałszywa koncepcja człowieka nie może nie doprowadzić do konfliktu, z którego wyjście, przy zachowaniu początkowych założeń, prowadzi jedynie w rozpacz. Na takich zasadach nie da się zbudować żadnych pozytywnych rozwiązań. Jedyną nasuwającą się konkluzją będzie — „życie, psiaakrew, nudny magistracki urzędnik”. Sfera „biologii” jest zbyt ciasna dla człowieka — nie dopuszcza pełnej rezygnacji — byłoby to ponad jego siły — przeciwnie, implikuje mniej lub bardziej świadomy bunt lub obrzydzenie.

I tutaj dochodzimy do źródła beznadziejnej atmosfery otaczającej świat powieści.

O ile epidemia grypy w Naprawie jest wyraźnie uwarunkowana nędzą wsi, o tyle śmierć Zeni czy ślepoty Zygmunta nie mają tak jasno oznaczonych powiązań społecznych.

Oba te fakty wynikają raczej ze złośliwego przypadku — przypadku motywowanego przeświadczeniem o nonsensownym beznadzie będącym zasadą świata. Do takich wniosków doprowadziły rozwinięte konsekwentnie założenia. I autor nie wymyguje się od odpowiedzi, Ma świadomość błędnego kola: „Człowieku — mówią — jesteś iskrą bożą, a w istocie wiemy wszyscy, że jesteś kupą gnoju” mówi z gorczą ślepnący Zymunt. I chyba wartość „Grypy” wynika właśnie z tej gorzkości, z tego, że brak w niej żadnego wolonego z siebie uspokojenia — że jest ona beznadziejna, a przecież żarliwym krzykiem protestu przeciw nędzy człowieka sprowadzonego do roli zwierzęcia — a także, że jest uczciwym choć pośrednim świadectwem bankructwa postawy widzącej w człowieku jedynie biologiczne instynkty. A w odruchach obrzydzenia, jakie wzbudza w autorze zwierzęce przejawy życia ludzkiego, można wyczuć nieświadomą pragnienie czegoś lepszego.

Pascal powiada, że „nie trzeba, aby człowiek mniemał, iż jest równy bydlętom, ani aniołom, ani żeby nieświadom był i jednego i drugiego, ale aby wiedział i jedno i drugie”.

Książka Kurka daje nam niestety tylko połowę wiedzy.

Jan Lipiński

* J. Kurek „Grypa szaleje w Naprawie”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1954.

BYŁO to w drugim roku okupacji, przed zamknięciem ghetta. Akcja przesiedlenia żydów do przeznaczonych dla nich części Warszawy miała się ku końcowi. Odwiedzałem właśnie paru moich przyjaciół, którzy zdecydowali się podzielić swój los z czterystu tysiącami wędrownymi do ghetta współpracownikami. Ulicami płynęły tłumy przechodniów, teraz jeszcze przyzwyczajonych do ghetta, teraz już znowic ubranych, lecz już spod domów poczęła wyciekać krew. Stało tam mnóstwo ludzi handlujących czym się tylko dało: jedzeniem, papierosami, ubraniami.

Na bocznych ulicach, gdzie ruch był mniejszy, również można było zobaczyć to samo. Do sprzedania były tam jednak rzeczy o wiele bardziej fantastyczne. Ktoś proponował kupno starej kamizelki, ktoś inny — budzika. Przechodziłem ze ściśniętym sercem, domyślając się, że są to może ostatnie rzeczy, jakie ci nieszczęśliwi ludzie mają do sprzedania. Do Warszawy bowiem przybyły już pierwsze partie wysiedlonych z małych miasteczek Żydów, którym często dawano tylko po pięć minut czasu na spakowanie rzeczy i wyjście z mieszkań.

Kiedy przechodziłem Krochmalną, podeszła do mnie nagle jakaś kobieta w średnim wieku. Ubranie jej było już bardzo zniszczone, ale twarz zdradzała „inteligencję”. Była to bardzo smutna twarz ze śladami przeżytych cierpień, twarz której nigdy się nie zapomina. Spod rozpiętego płaszcza wyjęła kobieta pluszowego niedźwiadka.

— Może pan to kupić?

Zawahałem się. Niedźwiadek nie był mi potrzebny.

Ona jednak powtórzyła:

— Niech pan to kupi... dla swojego dziecka!

Nie miałem wcale dzieci.

Widząc, że nie przejawiam chęci kupna, dodała gorączkowo:

— Jestem z Kutna. Wyszędono nas prawie nagich. Trzy dni już nie jedliśmy...

W głosie jej tyle było cierpienia i próby, że odruchowo wyjąłem portfel i dałem jej ostatnie sto złotych, jakie miałem przy sobie. Chwyliła je skwapliwie. Z oczu jej wierział głód.

— Dziękuję — rzekłem, gdy podawała mi niedźwiadka. — Niech pani to zatrzyma...

— Niech pan weźmie! Nie jest mi potrzebny... Luscia już nie żyje... — rzekła niesamowitym głosem i odeszła tak szybko, że nie zdążyłem zaoponować.

Zostałem sam na sam z miśkiem. Był brązowy, średniej wielkości. Miał mły i dobronny „wyraz twarzy”, wydatną pierś i brzuszeczek. Ulubieniec wszystkich dzieci; i ja kiedyś miałem takiego. Zresztą które z dzieci z przeciętnej rodziny mieszczańskiej nie miało swego pluszowego niedźwiadka? Zastanowiłem się, co z nim zrobić? Chyba dam go Dwidzi...

Dzidzia, trzyletnia córka moich kuzynów, była najmilszym chyba dzieckiem, jakie znałem. Miała tak dobre serduszek, że wystarczyło tylko zrobić płaczliwy wyraz twarzy, aby Dzidzia szła się już „pokochoać” dwójkiem drobnych, pulchnych ramionek. Jak wszystkie dzieci strasznie lubiła zwierzęta. Pamiętam, jak na dwa miesiące przed wojną w lecie 1939 r., kiedy miała jeszcze dwa latka, zaprowadziła ją do Zoo. Był to chyba najradośniejszy dzień w jej życiu. Z rozszerzonymi zachwytem oczyma, pogrążona w jakimś stanie ekstazy, szła od klatki do klatki, zarczując mnie pytaniami.

— Wujciu, a co to jest?

— Widzisz, Dzidziu, to jest lis.

— A czemu on taki smutny?

— Dlatego, że w zamknięciu. Nie żałuj go, Dzidziu. To bardzo wielki szkodnik. Zjada kury, kaczkę, nawet małe kurczątka.

— Dzidzia także zjada kurczątka...

— Ale on je zabija...

Natychmiast jednak pożałowałem swoich słów, gdyż zaraz musiałem dać odpowiedź na: co to — „zabijać”?

Trudno to było wytłumaczyć dziecku. Nie chciałem zapoznać jej z tym pojęciem. Czyż mogłem przypuścić, że już za dwa miesiące Niemcy dadzą nam co do tego tak dokładną lekcję.

Zarzucając setkami pytań, prowadził Dzidzię od klatki do klatki. Stanęliśmy przed żyrafą.

— A czemu ona ma taką długą szyję?

— Ażeby mogła zrywać z drzewa owoce.

— A czy ona ją myje?

— Skądże dziecko!... w jaki sposób!...

— A ja bym ją jej wymyślał mydelkiem. Tym, co tak ładnie pachnie...

— Daj pokój, Dzidziu, przecież nie dostaniesz.

— A ja bym weszła na drabinę...

W końcu udało mi się odciągnąć Dzidzię od żyrafy i zaprowadzić nad brzeg basenu, w którym przebywały okazy wód afrykańskich. Parę krokodyli wychylało z wody swoje gestapowskie mordy.

— A co to takiego?

— To krokodyl. Bardzo złe. One zjadają ludzi.

— Nawet dzieci?

— Tak. Nawet dzieci,

Władysław Smólski

— A może by mu dać lodów?

Na szczęście nie było obok chłopca z lodami i Dzidzia musiała zrezygnować z nakarmienia nimi hipopotama.

Dzidzia się gusta takich brzdąków. Bez większego wrażenia przeszliśmy obok klatki z małpami. Za to najwyższą radością napelił Dzidzię widok słoniu.

— A co to jest?

— To jest trąba.

— A on na niej trąbi?

— Od czasu do czasu. Ale to jest właściwie jego nos.

— Taki duży!

— Czemu się dziwisz? Wuj Michał ma także taki wielki nos.

— Ale on ma wąsy, a słoń nie.

— Widzisz, za to słoń ma większy nos.

— A czy on może w tym nosie dębać?

— Nie, bo nie ma paluszków.

Dzidzia się zastanowiła. A po chwili:

— To on bardzo biedny,

PLUSZOWY NIEDŹWIADEK

mogła włożyć mu w trąbę dwa wafelki, które zostały w dziwny sposób wciągnięte w głąb nozdrzy, a potem ku wielkiej radości Dzidzi, powędrowały do otwartej paszczy. Dzidzia z zachwytem aż klasnęła w ręce. Tak, była to prawdziwa sielanka. Czyż mogliśmy wówczas przewidzieć tragiczny wrzesień!

Z bombardowania rodzice Dzidzi wyszli obronną ręką. Mieszkanie pozostało całe, tylko szyby popękaly od wstrząsów. W schronie Dzidzia zachowywała się z wielkim męstwem, podtrzymując na duchu dorosłych. Myśleliśmy, że niewiele z tego rozumiała. Jakież było zdumienie wszystkich, kiedy pewnej nocy zaczęła krzyczeć przez sen. Obudzona, powiedziała, że śniło jej się, iż samolot rzucił bombę prosto tu, na nasz schron.

Warszawa kapitulowała i zaczęła się szara, żmudna walka o byt. Ojciec Dzidzi chodził jak dawniej do biura, lecz wobec wielokrotnej zwyżki cen pensja nie wystarczała na życie. Musiano się więc powoli wyprzedawać. Dzidzia nie otrzymywała już ciastek, ani zabawek. Pewnego razu, kiedy matka, która zaczęła „handlować”, udało się coś zarobić, Dzidzia dostała na śniadanie dwie białe bułeczki. Była tym tak zachwycona, że aż uczuła potrzebę opowiedzieć o tym listonoszowi, który właśnie przyniósł list z zawiadomieniem, że jeden ze stryjów Dzidzi zginął w ostatnich walkach w Borach Tucholskich. Nie powiedziała jej tego. Dzidzia była szczęśliwsza od nas wszystkich: nie rozumiała koszar, który ją otaczał. Za to widok jej rozeszmianej twarzyczki dodawał nam otuchy w tych ciężkich latach. Była naszym promieniem słońca, naszą radością i symbolem lepszego jutra.

Tak wspaniały prezent, jak pluszowy niedźwiadek, wywołał w rodzinie prawdziwą konsternację.

— Skąd go masz? — zawołała kuzynka.

— Dostałem go w ghetcie za bezcen... — skłamałem nieśmiało.

Niedźwiadek powędrował w drżące od szczęścia ramionka Dzidzi, które zamknęły się natychmiast ruchem mówiącym stanowczo: — „Nie oddam!”

Wnet jednak nastąpiły pytania:

— A skąd go wujcio dostał?

W tych bowiem skomplikowanych czasach rzeczy nie kupowało się w sklepach, lecz „dostawało” się przezwyczajnie z przypadku. Odpowiedziałem więc:

— Ten niedźwiadek uciekł od Niemców.

— A gdzie jego mama?

— Zgubił ją i jest na świecie samutki, sam.

— To ja go „pokochoam”.

Głos Dzidzi brzmiał stanowczo i poważnie. Nagle:

— A może by dać ogłoszenie do gazety?

W gazecie było pełno ogłoszeń poszukujących się osób.

— Owszem, damy ogłoszenie w „Nowym Kurierze”. A tymczasem niech zostanie u ciebie.

— Tak. Ja będę jego mama.

I znów obietnica Dzidzi zacięła się miłośnie na pluszowym zwierzątku.

Lecz właśnie wybiła „godzina policyjna”, która dla Dzidzi była jednocześnie godziną snu. Matka przestrzegła tego z bezwzględnością żandarma.

— Dziecko jest niedożywione; musi spać dłużej.

I tym razem Dzidzia otrzymała rozkaz natychmiastowego pójścia do łóżeczka.

— A niedźwiadzia zostaw. Może być brudny...

Ale Dzidzia nie chciała się rozstać z nową zabawką. Matka odebrała ją siłą.

— No, jazda spać!

Pełna jeszcze przed chwilą radości buzia Dzidzi zaczęła się nagle marszczyć i przybierać coraz wydatniejszy wyraz żalu. Żal przeszedł w smutek, a w końcu w rozpaczę i nagle w pokoju rozległ się głośny płacz.

— Dzidzia chce Misia!

Cóż było robić. Miś z powrotem powędrował w ramiona Dzidzi. Zwycięzcy, tuląc Misia macierzyńskim gestem, triumfalnie powędrowała z nim do łóżka. W pół godziny później wszedłem do sypialni po piłnik do paznokci. Dzidzia spała już w swoim łóżeczku za siatką. Spod jej ramienia wystawał brązowy tułów pluszowego zwierza.

Mineło pół roku, ciężkie, koszmarnie. Poznaliśmy, co znaczy słowo „Oświęcim” i wiele innych strasznych i nieludzkich rzeczy. Jednocześnie wstępowała w nas nadzieja. Inwazja niemiecka na Anglię zawiódła na całej linii. Widzieliśmy, że prędzej czy później przyjdzie wyzwolenie. I dzieci w tych czasach nauczyły się wielu rzeczy, których uczyć się nie powinny były. Trudno, słuchały rozmów starszych, niedoła zaś rozwijała je przedwcześnie.

Dzidzia miała zaledwie cztery latka. Była wiosna 1941-go roku. Przyszedłem do kuzynów z dobrymi wieściami. Coraz więcej mówiono o wojnie Niemiec z Rosją. W tym kolosie pokładaliśmy obecnie nadzieję wyzwolenia. W tej chwili weszła do pokoju Dzidzia, z nieodstępnym niedźwidziem przy pierści.

— No, coż, Dzidziu, jakże twój niedźwiadek? Zdrowszy?

— Dziękuję, zdrow — odparła z całą powagą.

— Czy nie boli go brzuszeczek od razowego chleba?

— Nie, ja go karmię pierśią.

Wszystko wybuchnęło śmiechem. Dzidzia musiała się nauczyć tego od sąsiadki, która właśnie miała niemowlę i często przychodziła z nim do kuzynki.

— A nie tęskni za swoją mamą?

Dzidzia udawała, że nie słyszy. Powtórzyłem pytanie po raz drugi z całą złośliwością.

— Nie. Nic o tym nie mówię.

— Na pewno? A może dać znowu ogłoszenie do gazety?

— Niech wujcio da...

— Ale wtedy przyjdzie i zabierze ci go.

W oczach Dzidzi odbiła się straszna rozdzierka. Współczucie dla prawowitej matki walczyło w niej z przywiązaniem do ulubieńca. Wreszcie przez łzy odezwał się cienki głosik.

— Niech wujcio ogłosi...

Małe serce Dzidzi dokonało w tej chwili niesłychanego wyrzeczenia.

Tak się złożyło, że ojciec Dzidzi musiał wyjść gdzieś w jakiejś pilnej sprawie, kuzynka zaś nie mogła się oderwać od pieczenia ciasta. Poprosiła więc mnie, abym wyprowadził dziecko na spacer. Zgodziłem się chętnie. Już nieraz chodziłem z Dzidzią na spacer i bawiliśmy się wybornie. A zatem, ponieważ kuzynka miała ręce w ciście, pomogłem włożyć dziecku czerwony płaszczek, w którym wyglądała jak boża krówka i po chwili Dzidzia szła już ulicą z nieodstępnym miśkiem na ręku.

Dzień był cudny. Słońce piełu nie świeciło. Nie widzieliśmy Niemców. Poszliśmy do małego skwerku na placu, przy zbiegu kilku ulic. Dzidzia nie zasypiała mnie już jednak pytaniami. Szła milcząco,



rys. Barbara Jonscher

— A jakbym im dała cukierka?

— One wolałyby zjeść ciebie, Dzidzia się zamysliła.

— Tak, to bardzo brzydki — rzekła po chwili. Ja ich nie kocham.

Był to w jej ustach prawdziwy wyrok.

Natychmiast jednak chwilę depresji przerwał radosny okrzyk:

— Wujciu, co to?!

Z wody wynurzyła się paszcza hipopotama. Przez sekundę nabierała powietrza, „po czym znów zniknęła w basenie.

— To jest hipopotam.

— A czemu on siedzi w wodzie?

— Bo mu gorąco.

Konieczność chciała mu dać wafelków, które w tym celu kupowało się w budce obok. Ale słoń lekceważył małeńką postać Dzidzi i nie raczył się zbliżyć. Próżno, dając mu znaki ręką, piszczała jak najdłuższym głosem:

— Słoni! Słoni!

Nie raczył się zbliżyć. Może zastanawiał się właśnie nad marnością świata.

W końcu Dzidzia już prawie ze łzami:

— Słoni! Słoni! Słoni! Słoni!

Dzidzia ci nic złego nie zrobi...

Wtedy dopiero, zapewniony o jej lojalności, słoń zbliżył się i Dzidzia

Władysław Smólski

— A ja, gdybym umarła, to też bym została białym niedźwidziem? Robi mi się nieswojo.

— Nie, ty byś została aniołkiem... — Takim... ze skrzydełkami?!

— Tak.

Dzidzia zastanawia się. A po chwili:

— A ja bym wolała białym niedźwidziem...

Tak gawędząc szliśmy dalej. Dzidzia była w świetnym humorze, śmiała się i szczebiotała. Ach, jakże piękny to był dzień! Zapominało się o wojnie, o Niemcach, o wszystkim złym i koszmarnym...

Nagle ni stąd ni z owąd strzały. Skąd? W tych czasach nie dziwił się niczemu. Zresztą nie było czasu się zastanawiać. Boże, gdzie tu wiać? Przechodził właśnie koło ruin. Najbliższa brama była o dobre trzydzieści kroków. Chwyłem Dzidzię na ręce i rzuciłem się pędem do ucieczki. Kule sypały się po ulicy gęsto.

Brakło mi tchu w piersi. Do bramy było jeszcze z dziesięć kroków. Nagle tuż koło mnie świsnęła kula. Instyktownie wyczułem, że trafiła. Nie we mnie, biegłem dalej. Wciąż w dziecko! Jezus Maria! Właśnie w tej chwili dopadłem bramy. Szybko wbiegłem na klatkę schodową, gdzie było bezpiecznie od kul. Schroniło się tam już kilka osób. Wtedy dopiero mogłem obejrzeć Dzidzię. Już pierwsze spojrzenie na jej uśmiechniętą twarzyczkę rozproszyło moje obawy. Nie rozumiała niebezpieczeństwa, taki bieg nawet jej się spodobał. Nagle z przerazaniem wskazała na trzymanego w ręku misia. Przez dziurę w brzuchu sypały się trociny...

Kula, przeznaczona dla Dzidzi, uwięzła w brzuchu jej pluszowego przyjaciela.

PAUL ELIARD

Ta, która nie nie mówi

W nocnych drzewach są różnokolorowe liście
I liany niebieskie i zielone łączą drzewa z niebem
Oszczęda je wiatr o olbrzymiej twarzy. Lawina
Sunie w przejrzystej głowie, światło, chmura owadów
Drży, śpiewa i umiera.

Nagi cud łamie się, kruszy
Dla jedynej istoty.

Najpiękniejsza nieznajoma
W odwiecznej agonii.

Gwiazdy jej serca w oczach całego świata.

PIERRE-JEAN JOUVE

Lilie
ogrodu ponad którym czysta nieba zielen
jest cudem co się wznośi lub spływa jak fale
bezzastannie na wszystkich moich konających
jeźdźców opartych o biały i twardy mur łaski

Lilie mają zwyczaj najpiękniejsze w świecie:
obojętne na deszcz i czarny wiatr na krcpnięcie krwi

rozlanej i na złotą bestię słońca
chylą się wiernie ku potężnemu Oblubieńcowi
a mnie jego małżonkę zostawiają brudom



GUILLAUME APOLLINAIRE

Lul de Faltenin

A Louis de Gonzague — Frick

Syreny Skał chwytając dłońmi
odkryłem grotę Stamtąd w fali
nurzacie język lub przed kołmi
płaszacie Słychać śpiew rywali
Wasze anielskie skrzydła wspomnę

Broń Niespokojny jak szaleniec
potrząsam okwitniętym prętem
żeby odegnąć ciepłe tchnienie
którym na moje kłatwy święte
ziewiecie z ust okropnie niemych

Waszego śpiewu już mi nie żal
W obliczu cudu cóż znaczenie
Kiedy trysnęła krew z puklerza
co schwył w locie me odbicie
zawilem pychę wyznam szczerze

Jeśli żeglarze przy wybrzeżu
od warg uciekli fali wierzchem

tysiące urzeczonych zwierząt
żeby mnie spotkać ślady węższy
ran co z miłością są w przymierzu

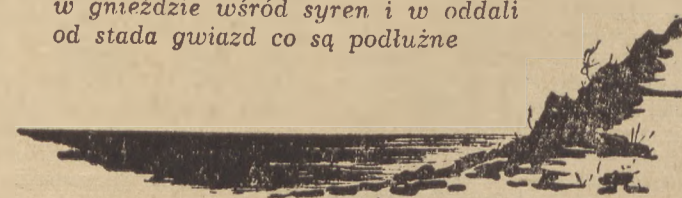
Ich oczy jak zwierzęcy Orion
nad miłosierdziem błyszczą moim
Mój rozum wobec gwiazdozbiorów
mądrości tak jak równy stoi
Świecę jak gwiazda nocną porą

Syreny Wreszcie schodzę z trwogą
w zachłanną grotę Wasze oczy
kocham Po stopniach idzie droga
śliskich Skarlale w dalach mrocznych
nie przywabicie już nikogo

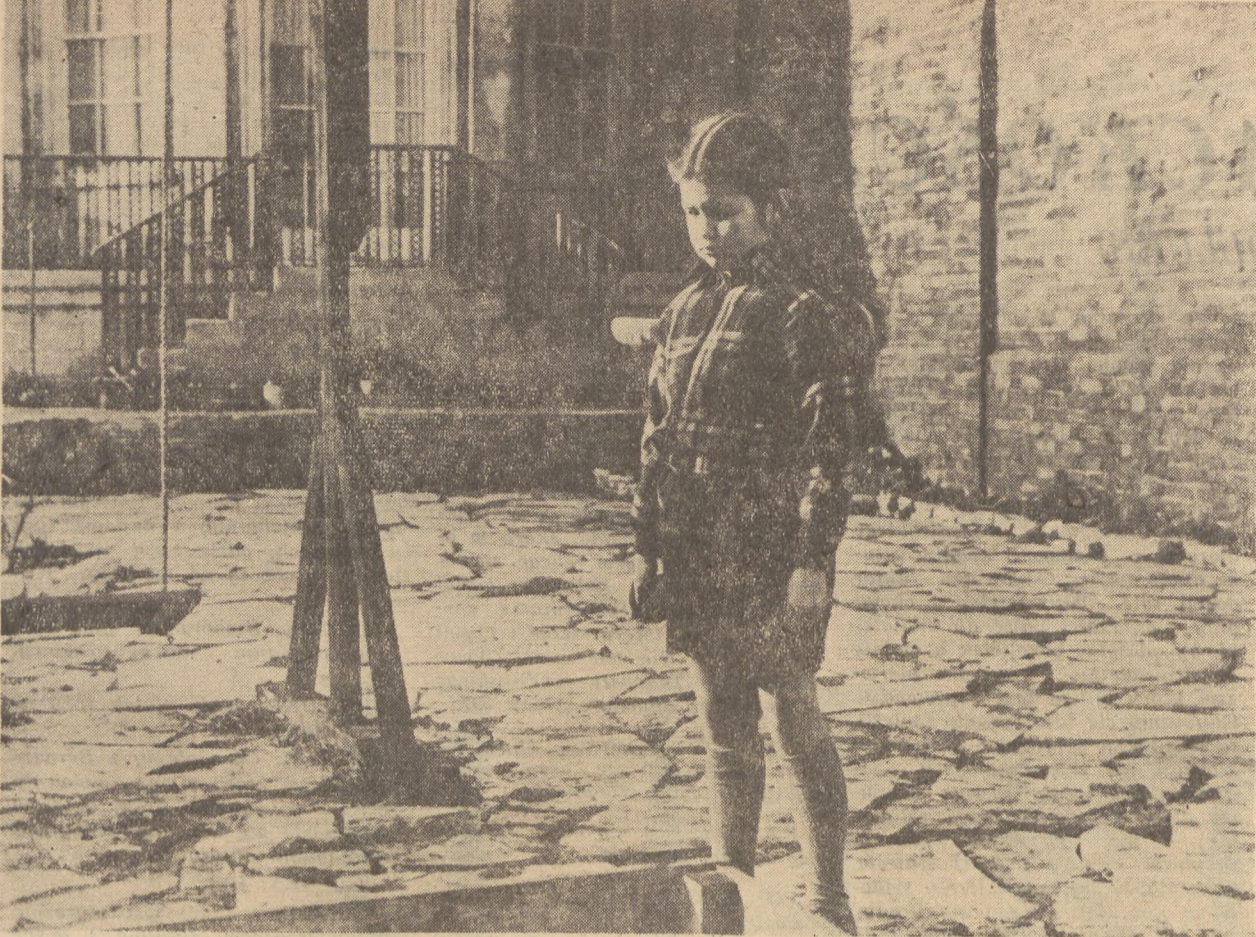
W wielkim skupieniu i z uwagą
patrzyłem w lasów naszych zieleń
Morze i słońce płucze gardło
Na statku marynarze chcieli
by liście skryły masztów nagość

Schodzę teraz pod nieboskłonem
który w medużę się zamienia
W okrutnej mece cały płonę
To ramię będzie wyjaśnieniem
żagwią mych cierpień zapaloną

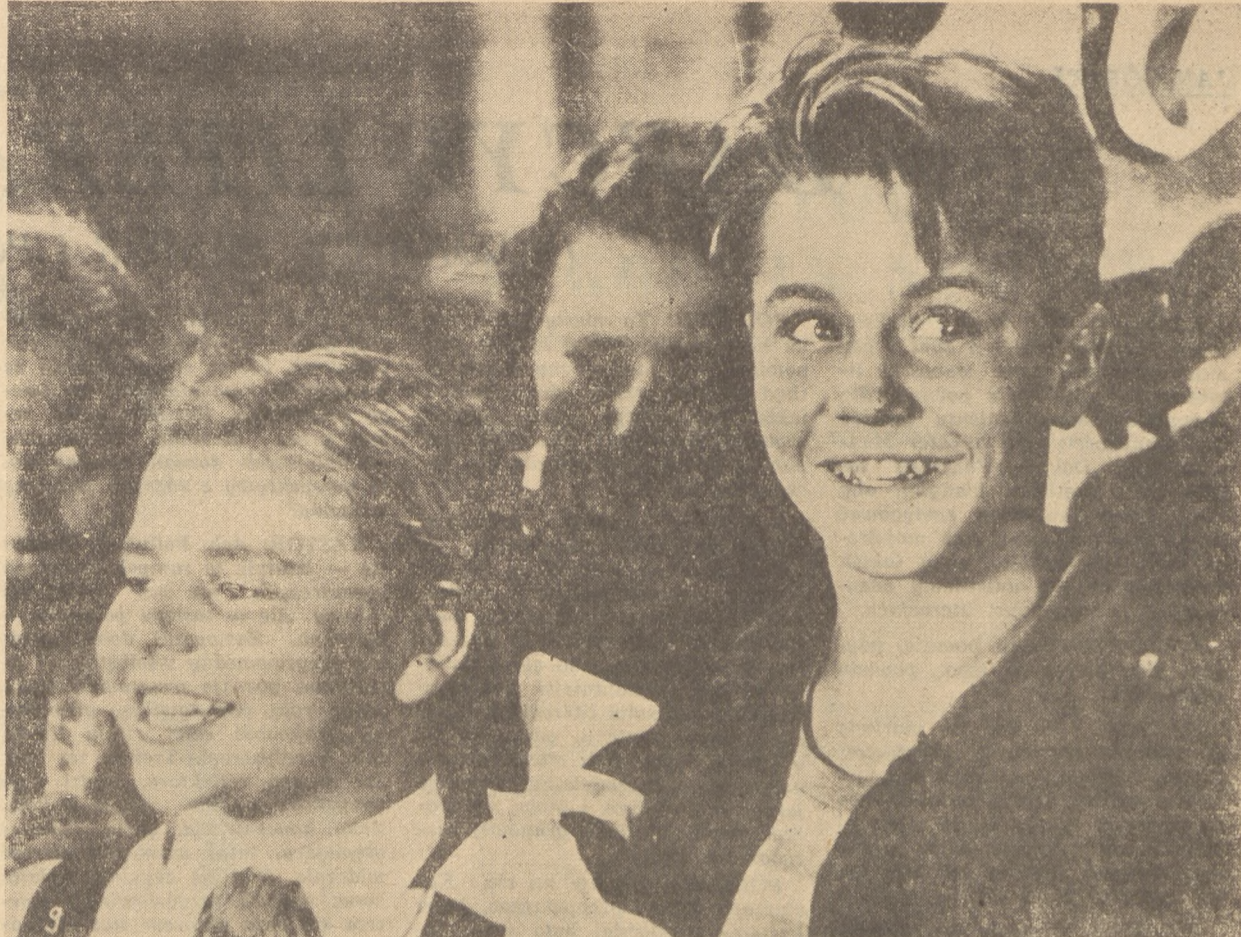
Ptaki Języki studzić w morzu
Słońce dogania mnie na fali
Spłynęła na nas krew z puklerza
w gnieździe wśród syren i w oddali
od stada gwiazd co są podłużne



przekłady Tadeusza Bukowskiego



Scena z filmu „Zagubione dzieciństwo”



Scena z filmu „Mąciwody z VII b”

CZESŁAW CZAPÓW

Inwazja „cudownych” dzieci

W ciągu ostatnich kilku miesięcy na naszych ekranach królowały filmy, w których dominowały dzieci i ich dziecinne sprawy. Oglądaliśmy „Małego przewodnika”, „Mąciwody z VIIb”, „Dzielnice cudów”, „Zagubione dzieciństwo”, „Ambicje młodości”, „Babę”. I stwierdziliśmy, że mimo, że wszystkie te filmy były to „filmy dziecięce”, tj. filmy z dziećmi w roli głównej, nie znużyły nas wcale. Nic w tym dziwnego. Filmy charakteryzowała duża różnorodność filmowej ekspresji, merytorycznych ujęć.

Nie był to w żadnym razie jakiś pokaz „cudownych dzieci”. Takie „pokazowe” ujęcie, typowe dla pierwszych „filmów dziecięcych”, rzadko się dziś na ekranach spotyka. Dziecięcych kreacji filmowych jest już zbyt wiele, aby je można było uważać za „cudowne” wydarzenia. Miejsce „cudownych” dzieci w rodzaju Jacka Coogana, Shirley Temple czy Jacka Coopera zastąpiły liczne rzesze dziecięcych aktorów, których kreacje nie ustępują w niczym kreacjom pierwszych „dziecięcych filmów”. Mała Margaret O'Brien nie jest wcale gorszą aktorką niż Shirley Temple, Roddy McDowall dorównuje Jackowi Cooganowi, Dean Stockwell Jackowi Cooperowi a Vincent Winter Fredowi Bartholome.

Jakże świetną była kreacja „Wiewiórki” w filmie Julien Duviviera, zrealizowana przez małego Roberta Lynena. A przecież nie była to kreacja łatwa. Trzeba było pokazać przeżycia chłopca niekochanego przez matkę a niezauważanego przez ojca. Trzeba było naszkicować problem „dziecka niepotrzebnego”, żyjącego w atmosferze drobno-mieszczafskiej rodziny, dziecka, które powzięło decyzję samobójstwa. Nierównie wysoki poziom zaprezentowała nam niezapomniana Natasza Zaszczyłina. W „Uczennicy 1a” oglądaliśmy, pozornie nieefektywne i wymagające wnikliwej analizy, problem dziecka, które przeżywa pierwszy rok szkolnej edukacji. Jura Jankin pokazał nam historię dziecka, którego przysługę nierzadnie ma środowisko żołnierzy Czerwonej Armii, Mandy Miller dała doskonałą kreację głuchoniemej dziewczynki kroczącej drogą, wiedzącą do twórczego życia w społeczeństwie, Roberto Benzi odtworzył dzieje dziecięcego muzycznego talentu.

Oglądaliśmy także z dniem każdym częściej filmy, w których dzieci stanowią wśród aktorów danego filmu oddział najliczniejszy.

Pokazano nam dobry zespół dziecięcych ról i w „Małych detektywach” Ralpa Smarta i w „Dzieciach z jednego podwórka” Astrid i Bjarne Henning-Jensen i w węgierskim filmie „Gdzieś w Europie” i w angielskim „Pościgu” i w radzieckim „One mają ojczyznę”, i w włoskim „Dzieci ulicy” i w francuskich filmach: „Kłątka słowicza” i „Dzielnica cudów”.

Dzieci wkroczyły do filmu nie tylko jako aktorzy „filmów dziecięcych”. Dzieci stały się, często niezbędnym, elementem obrazu rzeczywistości, ukazywanego w filmie, którego mianem: „dzieci” obdarzyć nie można. Mały chłopiec ze „Złodziei rowerów” stanowi kreację równie ważną i równie doskonałą, jak inne kreacje tego doskonałego filmu. A Brońca z „Celulozy” nie bez racji uchodzi za ważką część dzieła Kawalerowicza. Tak zatem chłopca-nowskiego „Brzdąca”, wykonanego przez Jacka Coogana, możemy określić jako, potwierdzoną całkowicie przez rozwój wydarzeń, zapowiedź „dziecięcego równouprawnienia” w obsadzaniu ról w „dorosłych filmach”.

BARDKO były rozczarowane sytuacją te dzieci, które szukały rozrywki na seansie filmu „Zagubione dzieciństwo”,

Nie tylko nieprzyjemnie, ale wręcz szkodliwie były natomiast wyprawy dzieci na włoski film „Dzieci ulicy”. Realistyczny obraz zbrodni nie jest przeznaczony dla dzieci. Ci, którzy określali granicę wieku przyszłych widzów tego filmu, sądzili inaczej wychodząc widocznie z założenia, że każdy film z dziećmi... jest filmem dla dzieci.

Nie są filmami dla dzieci ani „Dzieci ulicy”, ani „Rudzielec”, ani „Zagubione dzieciństwo”, „Preludium sławy”, „Ambicje młodości” czy „Babę” są to filmy przeznaczone w równej mierze dla dzieci jak i dla dorosłych. Typowymi filmami dla dzieci są natomiast: „Mały przewodnik” i „Mąciwody z VIIb”.

Tak się złożyło, że wśród wszystkich „dziecięcych filmów” które w ostatnim czasie gościły na naszych ekranach, właśnie filmy dla dzieci były filmami najmniej udanymi. Analizując przyczyny wyrażonej nieatrakcyjności obu tych filmów, natrafiamy na dość istotny problem filmu przeznaczonego specjalnie dla dzieci.

Sprawa jest dość prosta, kiedy oglądamy bajkę filmową z dziećmi w roli głównej. Wszystko tam jest konwencjonalne, umowną sytuacją, zabawa. Podobnie rzecz się ma z takimi filmami, jak: radziecki „Piętnastoletni kapitan”, angielski „Mały detektyw”, czeski „Mały partyzant”. I tutaj, podobnie jak w sienkiewiczowskiej „W pustyni i w puszczy” wszystko dzieje się w gruncie rzeczy „na niby”, w rzeczywistości dzieje się w świecie dla zyczeń i potrzeb małych bohaterów. Ale co począć z filmem dla dzieci, którego twórcy chcą wyjść poza taką baśniową rzeczywistość, próbując jednocześnie trafić do mentalności dziecka, szanując jej specyfikę i rozwój oraz dydaktykę, która nim kieruje?

Takie filmy, jak „Mały przewodnik” czy „Mąciwody z VIIb” są to nudne, nieudane filmy. Ale nie tylko dlatego, że są realizatorsko złe. U podłoża koncepcji obu filmów tkwi fałszywe założenie. Polega ono na tym, że nie rzeczywistość, ale świat postulatów, ideałów i wzorów czyni się podstawową bazą treści ujęć filmowych. Tymczasem wcale nie chodzi o to, aby ten świat zignorować, ale o to, aby pokazać jego prawdziwe, społeczne istnienie tak, jak się ono przejawia w rzeczywistości.

Na obronę obu filmów można by powiedzieć, że wierne pokazanie

rzeczywistości, choćby była to rzeczywistość dziecięcej egzystencji, przekreśliłoby specyficzny charakter filmu przeznaczonego dla dzieci. Z drugiej strony filmy zasadniczo rezygnowały z bajkowego ujęcia. Nic więc dziwnego, że pozostała jedynie dydaktyka, niejako symbolizowana, ilustrowana osobami małych aktorów. Ich kreacje wyrażały prawdę, co najwyżej, ogólną, abstrakcyjną i trudno przypuścić, aby wzorowano je na faktycznie istniejących sylwetkach osobowościowych.

Ale powyższa obrona jest równocześnie podkreśleniem bezsensowności produkowania takich filmów jak „Mąciwody z VIIb”. Czy warto produkować filmy, które nikogo nie wzruszają, mówią jedynie o

prawdziwych zasadach, ale nie mobilizują do ich realizacji?

Czyżby więc bajkowa forma treści filmu była jedyną formą filmu przeznaczonego dla dzieci? Zaprzeczając temu praktyka realizatorska twórców takich filmów jak np. „Uczennica 1a”. W filmie tym nie zignorowano wzorów, ideałów, postulatów, ale i nie zignorowano rzeczywistości. Pokazano ją na ogół wiernie, ujmując ją jednak w specyficzny dziecięcy sposób.

Co to właściwie znaczy? Zastosowano po prostu nie „dorosłe”, ale dziecięce apercipowanie dokonywających się zdarzeń. Uzyskano w ten sposób inną niż w „dorosłym filmie” wagę problemów, inny punkt widzenia i przedmiot zainte-

resowań. Realizm filmu wyrażał się w typowości, realności zdarzeń oraz w wiernym odtworzeniu dziecięcego patrzenia na świat. „Dziecięca” specyfika filmu polegała natomiast na wydobyciu i podkreśleniu tego wszystkiego, co w prawdziwym życiu jest dla dziecka specjalnie ważne i specjalnie interesujące.

Tak zatem przykład filmu „Uczennica 1a” wskazuje wyraźnie na to, że wśród niebajkowych filmów dziecięcych przeznaczonych specjalnie dla dzieci obok rozwiązań nieudanych istnieją ujęcia atrakcyjne i odkrywcze. I ujęć takich jest coraz więcej. Współczesne filmy dziecięce nie mały mówią nam o świecie, bogata jest różnorodność ich dramaturgii. Są już dziś dziecinne fil-

my bajkowe i niebajkowe. Są dziecinne filmy dla dzieci i dziecinne filmy dla dorosłych. Są dziecinne filmy muzyczne, są dziecinne komedie i dziecinne dramaty. I coraz więcej jest dobrych, pogłębionych, indywidualnych i zespołowych kreacji dziecięcych. Tak zatem, jeśli już koniecznie chcemy stosować nieuzasadniony termin: „cudowne dziecko”, i mianem tym obdarzać wszystkich wyżej wymienionych małych aktorów, to patrząc na bujny rozwój „dziecięcego filmu”, stwierdzić musimy, że kinematografia światowa przeżywa prawdziwą inwazję „cudownych” dzieci.

Czesław Czapów

ANDRZEJ DRZEWICA

W NAŁĘCZOWIE

BYLEM tu przed wojną, bywałem również po wyzwoleniu. Park nałęczowski był wówczas zupełnie zaniedbany. Obecnie odbudowano sanatorium, ruch na wygracowanych i otoczonych rabatami alejkach, widok strzyżonych trawników i labiryntu na stawie pochłania uwagę przechodnia i wskazuje, że wiele już zmieniło się od 1946 r., chociaż widok małej wyspki na stawie przypomina, że dawniej znajdowała się na niej... muszla koncertowa. Szkoda, że nie odbywają się koncerty... ale kilka lat temu prócz przypadkowych przechodniów, skrącających sobie drogę przez park, nie widziało się tu w ogóle ludzi. Na zagonach roślin pokrzywy, rdost, gdzieś tam kapusta a w spuszczonej stawie pasły się krowy. O dawnej świetności świadczyły tylko stare lipy i ruiny budynków zdrojowych. Przy ostatniej z tych ruin, przy łazienkach, widzę krzątających się pierwszych robotników, przygotowujących remont.

Porą na bardziej systematyczne zwiedzanie i notatki. Najpierw zabijki, a więc przede wszystkim pałac. Zbudowany przez Małachowskich w drugiej połowie XVIII wieku od kilkudziesięciu lat służy zdrowisku, początkowo jako główny Dom Zdrojowy, później jako centrum życia kulturalnego i towarzyskiego. Ta kultura i życie towarzyskie na miarę ówczesnej epo-

ki, oczywiście. Wstęp do pałacu mieli tylko goście zakladowi lub ci letnicy mieszkający poza zakładem, którzy wykupili karty wstępu do parku.

No, zmieniło się — myślę, zbliżając się do pałacu — zobaczę wzorowo dom kultury. Tymczasem w ciągu paru dni nie mogę zobaczyć, bo z wyjątkiem hallu wejściowego wszystko było pozamykane. Zwyczajnie na kłódkę, a kłódkę jak wiadomo wymaga skobla, tożę powbijano i skoble, powbijano w profilowane, ze śladami złoceń, XVIII-wieczne drzwi. Po paru dniach szczęście się do mnie uśmiechnęło, dostaliśmy się na pałacowe piętrowe. Wtedy przekonaliśmy się, że nie tylko główne wejście ale i drzwi do każdej sali obdarzone zostały skoblem.

Wnętrze pałacu przedstawia obraz smutny, ale nie odbierający nadziei na przywrócenie stanu pierwotnego. Supraporty i gzymsy podobnie jak, złozenia wytarte, biel sztuków zszarzała — ale pozostało dość fragmentów na odtworzenie całości. Najwyższy czas, by pałac został przejęty przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. W tej chwili „opiekuje się” nim Ministerstwo Zdrowia, nie mające ani zainteresowania dla zabytku, ani możliwości jego restaurowania.

Od pałacowej bramy wiedzie ku wsi Bochnica wspaniała aleja lipowa. Nie znam się na dendrologii, ale myślę, że niektóre z drzew pamiętają czasy Małachowskich. Przy alei stoi duża, barokowa kaplica przydrożna, w niej drewniany św. Michał. To drugi nałęczowski zabytek. U końca alei, już na terenie wsi Bochnica — kościół.

Niewielki i skromny, bardzo starannie utrzymany, łączy w sobie przytulność cichych kościółków wiejskich z wykwintem zabytkowej świątyni. Swą obecną postać zawdzięcza kościół — Małachowskiemu, ale kto wie czy mury jego nie kryją jakichś niespodzianek. Parafia erygowana została w pierwszych latach XV wieku i pierwszy kościół stał na pewno w tym samym miejscu co kościół obecny.

Widok z kościelnego wzgórza wynagradza hojnie trud przybycia bardzo niewygodnych schodów. Obok kościoła cmentarz, ogrodzony tak charakterystycznym dla starych wiejskich kościołów murem. I tu pierwsza przykrość. Pamiętam, że dawniej na cmentarz wiodła dębowa brama, nadgniała już wprawdzie i pochylona. Szkoda, że w miejsce starej i zniszczonej nie zawieszono nowej, ale takiej samej. Dzisiaj wchodzi się na cmentarz bramą żelazną ażurową, skomponowaną zupełnie nowoczesnie, która doskonale pasowałaby na przykład do kościoła na Żoliborzu w

Warszawie, projektowanego w międzywojennym dwudziestoleciu.

Próbuję odszukać „znajomy” grób ostatniego w czasach pańszczyznianych dziedzica Bochnicy. Ciężki był dla poddanych pan. Gdy umarł i został pochowany wysiał się na grobie dwie brzozy. Miotane wiatrem smagały gałęziami żelazny pomnik. Poszła gadka po chałupach, że to za te wszystkie różgi, którym pan za życia tak szczerze obdział swoich chłopów. Grób stoi jak stał, ale brzozy przy nim już nie ma. Nie pamiętam czy widziałem je tu przed wojną, czy już wtedy ich nie było.

Tę miejscową legendę uwiecznił Stefan Żeromski, Nałęczów, to oddzielny rozdział w życiu pisarza. Żył jeszcze ludzie, którzy pamiętają chmurnego, młodego człowieka, korepetytorą zarabiającego na życie; niedawno umarł jego uczeń. Stoł drewniana willa „Oktawia”, ongiś własność pani Oktawii z Radziwiłłowiczów Żeromskiej. Nie różni się ona dzisiaj niczym od innych will nałęczowskich. Parę lat temu jedna jej część poczęła gnć. Właściciel więc skrocił po prostu dom o parę metrów, co jest metodą zapewne skuteczną, jednak nie dającą się wielokrotnie stosować. Ale w obzernym ogrodzie willi ocalało mauzoleum Adasia Żeromskiego i mały domeczek w stylu zakopiańskim, w którym tworzył Stefan. Domek jest otoczony opieką Wydziału Kultury, posiada nawet swego kustosa, który opiekuje się pozostałymi po pisarzu pamiątkami.

Szukam śladów po drugim wielkim pisarzu, Bolesławie Prusie, który również w Nałęczowie często przebywał i tworzył. Tablica na pałacu poświęcona autorowi „Płacówka” ocalała. Hitlerowcy nie orientowali się kim był Prus i czym była „Płacówka”. Idę więc na Jabłuszko, na wzgórze będące stałym miejscem jego spacerów. Druga przykrość. Las, który je pokrywał jeszcze w roku 1946 znikł pod działaniem złośliwej sikiery zapobiegliwych budowniczych własnych stodoł. Na pogórku znajduje się mogiła powstańców styczniowych a na niej kapliczka. Wszystkim autorom artykułów o brzydocie będących w użyciu dewocjonalii polecam spacer na Jabłuszko. Podobnej kolekcji nie zdarzyło mi się widzieć nawet w kramach pod Jasną Górą, a sama kapliczka, przerobiona chyba z sodówki, pomalowana zieloną, olejną farbą, bije wszystkie rekordy.

Po Żeromskim i Prusie — Witkiewicz. Konia z rzędem temu, kto wie, że many w architekturze odrębny styl nałęczowski, stworzony właśnie przez Stanisława Witkiewicza, tego samego, który wprowadził do architektury narodowej zakopiań-

szczyzną. Projektu Witkiewicza jest szkoła spółdzielcza, ochronka, apteka, bodaj że i dom ludowy. Parę innych budynków powstało pod niewątpliwym jego wpływem. Ilość dzieł wystarczająca do zanalizowania stylu i skodyfikowania jego kanonów. Nie wiem czy została gdzie w Polsce napisana „praca seminaryjna na ten temat, ale wiem że nie się w Nałęczowie nie robi dla kontynuowania tradycji architektonicznej. Wybudowany pod Jabłuszkim nowy budynek szkoły jedenastoletniej jest może bardzo praktyczny i użyteczny, ale jest on zarazem olbrzymim, szpetnym murowaniem, rozsadzającym cały krajobraz. W Nałęczowie będzie rozbudowywana szkoła spółdzielcza. Istnieją obawy, że nowe budynki będą wznoszone według standardowych wzorów, nie uwzględniających, ani specyficznych cech krajobrazu, ani tradycji architektonicznych miejscowych. Czy tylko wielkie miasta mają prawo do architektury — a prowincji ma pozostać samo budownictwo?

Była mowa o zabytkach architektonicznych, warto zanotować sprawę „zaginiętego” zabytku przyrody. W starym przewodniku po Nałęczowie, jeszcze z XIX wieku, wyczytałem wiadomość o istniejących w najbliższej okolicy grotach stalaktytowych. Miały one znajdować się w lesie, położonym na prawym brzegu rzeki Trzpy, w kierunku do Wojciechowa. Otóż o grotach tych mało kto wie, a nie spotkałem nikogo, kto by je zwiedził. Inna sprawa, że autor przewodnika uprzedzał, iż wejście do grot jest bardzo trudne. W epoce umasowienia turystyki rzecz warta zbadania i — jeśli groty te istniały i jeszcze istnieją — warta udostępnienia.

Przyjadę do Nałęczowa w przyszłym roku na dłużej.

Andrzej Drzewica

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartałna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-80-13 (15). Zamówienia i wplaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Włókiendrukowe RSW „Prasa” w Wa. Marszałkowska 3/5. 5-B-150104. Zam. Nr 2115.

